

BIBLIOTEKA
„WIECZORÓW RODZINNYCH“

E. Jeziński

≡≡≡ Ze świata

czarów ≡≡≡

I

ZE ŚWIATA CZARÓW.

ZE ŚWIATA CZARÓW

ZBIÓR BAŚNI, PODAN I LEGEND

== ROŻNYCH NARODÓW ==

ZEBRAŁ I UŁOŻYŁ

EDMUND JEZIEFSKI

· WARSZAWA. NAKŁADEM M. ARCTA
i Wieczorów Rodzinnych.



80 080/1

K-202/77/86431

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE ORDYNACKA 3.

1911

D o l a.

(Litewsko-rusińskie).

Nie wiodło się jakoś Maciejowi...

Coraz go spotykało jakieś nieszczęście: to koń mu się ochwacił, i wkońcu padł, to krowę wilki w boru zajedli, to ostatniego wieprzka zły człowiek wykradł, to znów grad zboże wybił, wreszcie zgorzała mu stodółka ze zbożem i zachorzała jego kobieta i dzieci...

Coraz spadały nieszczęścia na biednego Macieja, aż wreszcie przebrała się miarka... Z dostatniego niegdyś gospodarza stał się nędzarzem, wychudł, przygarbił się, szatki na nim podarte, obszarpane — istny żebrak... Niewiele też i coprawda brakowało, by począł wyciągać rękę po proszonem, ale wstyd mu było ludzi, a i głos przytem zamierał w piersi, gdy miał o cośkolwiek prosić...

Znużyła już go ta walka z losem, ogarnęła go jakaś głucha rozpacz, aż postano-

wił utopić się, by odrazu ze wszystkim skończyć.

W piękny lipcowy ranek wybrał się do pobliskiego stawu, by skutecznie ten swój zamiar... A szedł ścieżyną, wijącą się węzłem wśród złocistych łąnów dojrzewającego zboża... Westchnął nieborak żałośnie, gdyż sąsiadów pszenica i żyto stoją prosto jak trzcina, w zwartym szeregu, pochylając tylko ku ziemi pełne ziaren kłosy, a u niego... jedno rżysko, z walającymi się gdzieniegdzie kłoskami, z powbijanymi w ziemię przez grad źdźbłami...

Westchnął raz jeszcze i idzie dalej, rozpamiętując wszystko, co go dotknęło... Rozmyśla nad tem i coraz większy mu żal życia, choć było mu ono tak ciężkiem...

Rozmyślał tak, rozmyślał, aż wreszcie postanowił poczekać jeszcze, a nuż mu się życie poprawi?

Zawracał więc już do domu, gdy pod przydrożnem drzewem spostrzegł leżącą jakąś postać uśpioną. Podeszedł do niej. Była to młoda jeszcze kobieta, odzież na niej była dostatnia, pyłem pokryta, a spała tak mocno, że choć promienie słoneczne prosto na twarz jej padały, nie czuła ich.

Zdjęty litością, poszedł Maciej do niej, aby ją przebudzić, gdyż słońce, padając jej na głowę, łącno mogło mózg przepalić.

Długo nią targał i wołał napróżno, aż wreszcie uniosła powieki, siadła i błędnie spojrziała wokoło; ziewnęła i zawołała:

— Ho, ho, ho!... a tom się setnie wy-
spała!...

— A skądęście wy, kobieto, i odkąd tu tak spaliście? — zapytał się Maciej.

— A toć jam z tych okolic, a spałam chyba cały rok.

— Jakto cały rok? — zdziwił się Maciej — a kto wy jesteście?

— Oho, gospodarzu, ja jestem Dola... To-
warzyszę człowiekowi od kołyski do trum-
ny i opiekuję się nim... Zależy to od tego
jakim on jest i jak postępuje... Jeżeli jest
dobrym, pracowitym, to i ja mu pomagam
i wiedzie mu się, gdy zaś — złym i leniwym,
to opuszczam go, a wtedy już Nędza go
bierze w swoją opiekę... No, ale teraz mu-
szę się śpieszyć, spałam cokolwiek zadługo,
i mojego gospodarza mogłaby nędza objąć
w posiadanie... A szkodaby gc było, bo
w gruncie dobry to jest człowiek, tylko...
trochę próżniak i niedorajda.

Podniosła się i chciała już iść, gdy Ma-
ciej zapytał:

— A czyjaś ty, Dolo?

— A Macieja, którego chata tam oto
stoi...

Toś ty, Dolo, nawet mnie nie poznała?...

— To wy!...—wykrzyknęła zdumiona Dola — to wy!... to was już Nędza trzyma...

— A tak, i to dzięki tobie! — zawołał Maciej, i jakaś głucha zawziętość i złość zaczęły kipieć mu w piersi. Pragnął zemsty, strasznej zemsty za te lata nędzy i biedy, które z jej łaski wycierpiał.

Porwał leżący opodal dębczak i, nie namyślając się długo, schwycił Dolę za długie włosy i począł bić. Wiła się biedna Dola pod razami kija, lecz umknąć mu nie mogła, gdyż silnie ręką trzymał ją za włosy. Prosiła, groziła, molestowała, jak tylko mogła i umiała. Nic nie pomagało. Zawzięty Maciej bił, powtarzając:

— To ty, szelmo, spać sobie będziesz, kiedy mnie tu nędza zre!

— Nie bijcie mnie, Macieju — krzyknęła wreszcie kobieta — a posłuchajcie mnie!

Maciej przestał bić, ale trzymał ją mocno, aby mu nie uciekła.

— Gadaj zaraz — wołał—bo cię uśmiercę!

— Mój Macieju — rzekła Dola — czyż to ja jestem winna, iż wam się źle wiedzie? Pomyślcie tylko! Czy wstawaliście raniutko, jak należało, aby dojrzeć konia, wczas go napoić, wyprowadzić na paszę krowę, nakarmić trzodę, czyście oczyścili kiedy stajenkę, oborę? Za to woleliście zaglądać do

karczmy, przesiedzieć tam z różnymi próżniakami i pijakami po kilka godzin na dzień i zamiast wziąć się do roboty, do przypilnowania gospodarstwa, narzekaliście tylko, że wam się źle wiedzie. Powiedzcie sami, czy to ja jestem winna? póki byliście porządnym gospodarzem, to chętnie wam towarzyszyłam, chociażście mnie nie widzieli, ale gdy widziałam, żeście się rozpróżniaczyli, to się od was wyniosłam.

— Więc cóż mam robić? — spytał Maciej.

— A wziąć się do pracy, pilnować porządku i ładu, nie chodzić do karczmy na gawędy i zostać uczciwym gospodarzem, jak się patrzy. Czy myślicie, że Dola tylko na was się uwzięła, a sąsiadowi sprzyjała?

— Kiedy mi ręce z biedy opadają — tłumaczył się Maciej.

— To je podnieście do góry, a ufajcie Panu Jezusowi, że wam pomoże.

— A czy będziesz dla mnie lepsza?

— Może i będę, zobaczycie, ale nie od razu, bo co się zepsuło, to nie łatwo naprawić. No, chodźcie Macieju do domu.

Maciej puścił Dolę i szedł obok niej. Weszli do chałupy, gdzie słońce świeciło swemi złocistymi promieniami.

— Patrzcie, jak to u was wygląda! — mówiła Dola. Wszędzie pełno brudu i śmieci,

pajęczyna okna zasłania. Czy to tak powinno wyglądać u porządnego gospodarza? I wy chcecie, aby Dola była lepszą dla was, przecież ja za was pracować nie będę, mogę wam tylko towarzyszyć.

Maciejowi jakoś raźniej się zrobiło. Zdjął sukmanę, porwał miotłę i zaczął robić porządek. Wymiótł śmiecie, potem oczyścił stajenkę i obórkę i poszedł do ogródka.

Dola wyszła. Tego samego dnia wieczorem przyszedł sąsiad Macieja, a pozdrowiwszy go, rzekł:

— Macieju, obrobiłem już swój kawałek pola, może chcecie, abym wam pożyczył konia, to obrobicie swoje półko.

— Bóg wam zapłać, sąsiedzie — rzekł Maciej uradowany. — Właśnie myślałem se, co bez konia nie poradzę, a tu Pan Bóg mi was zdarzył.

Przy pomocy dobrych sąsiadów Maciejowi szła gładko robota. Pracował też od wczesnego ranka do wieczora. Do karczmy nie zajrzał ani razu. Myślał o Doli, ale ta się nie pokazywała.

Wtem jednego wieczoru, gdy zmęczony siedział na przyźbie, zbliżyła się do niego jakaś kobieta. Patrzy, a to Dola.

— Cóż Macieju, jakże wam się wiedzie? — zapytała.

— A no, niby lepiej — odrzekł Maciej. Stręczą mi tu krowinę, ale cóż, kiedy nie mam za co ją kupić. Może dadzą mi ją na wypląt, albo na odrobienie robotą.

— Dostaniecie ją, Macieju, już ja w tem będę, tylko pilnujcie jej lepiej.

— O, będę pilnował, już teraz inszy ze mnie człowiek. Źle robiłem, to prawda, ale może mi Pan Jezus teraz dopomoże.

— Dopomoże, dopomoże, zobaczycie, Macieju. Jeżeli chcecie, to was znów niezadługo odwiedzę.

— A przychodź Dola i bądź dla mnie zawsze dobrą.

— Zostańcie z Bogiem, Macieju, życzę wam szczęścia!

Powiedziawszy to, Dola zniknęła. Ale nie zapomniała o Macieju, odwiedzała go często i cieszyła się, że Maciejowi coraz lepiej się wiodło.

I żył Maciej jeszcze długie lata, dostatek i szczęście zawitały do niego, a pracą i uczciwością zyskał poszanowanie i miłość ogólną... Często też powtarzał, że to Dola, z którą nigdy się borykał, tak mu dopomogła.

A gdy śmierć przysłała po niego, przyjął ją pogodnie, bo uczciwie, w pracy przeżył resztę żywota...

D z w o n.

(Chińskie).

Potęźnym władcą był cesarz Kan-Ti, potężnym, lecz i srogim zarazem. Żądza sławy i panowania pożerała go całego. Dążył więc do nich, na nic nie zważając. To krwawe boje toczył z sąsiednimi monarchami, pragnąc widzieć ich u stóp swych wszystkich ukorzonych, to wznosił budowle wspaniałe, oblewając je krwawym potem tysięcy poddanych, zatrudnionych przy tej pracy, a jęczących pod batogami dozorców. Albo też znowu rozkazywał rzemieślnikom wykonać jakiś przedmiot, w razie zaś, gdy mu się nie podobał, kazał ich strasznie karać. Nie spodobał mu się który z mandarynów, wnet oddać musiał głowę pod miecz katowski, lub też sam odebrać sobie życie przez rozprucie brzucha.

Zachciało się pewnego razu temu okrutnemu cesarzowi wznieść olbrzymią wieżę, wysokości dotąd niewidzianej, a przytem miała być ona nadzwyczajnej piękności, zawieszane zaś w niej dzwony miały oznajmiać ranek, południe i wieczór brzmieniem tak czystem, pięknem i potężnem, jakiego nikt dotychczas nie słyszał.

Zakrzętnęli się żywo dworzanie, spędzili najzdolniejszych rzemieślników z całego pań-

stwa i wkrótce wieżyca wzniosła się aż pod niebiosą.

Pozostawało tylko odlać dzwony. Do tej roboty zawezwano najzdolniejszego w całym Pekinie bronzownika — Tan-gi.

Zdumiał się on wielce, gdy otrzymał wezwanie, by się stawiał w pałacu cesarskim, lecz i zmartwił się przytem, bo wiedział, że zaprosiny takie nie dobrego nie wróżą.

Kryjąc więc smutek swój, czule uściskał żonę i dzieci, najczulej zaś najstarszą córkę, piękną Li, słusznie zwaną „kwiatem lilji“, i poszedł do pałacu.

W tronowej sali, otoczony mandarynami i wojskowymi, siedział „syn nieba“ Kan-Ti, gdy stawiono przed nim drżącego Tan-gi.

— Słuchaj, — rzekł cesarz do klęczącego przed nim w kornej postawie bronzownika — daleko rozbrzmiewa twa sława. Dowiedziesz mi jej, odlewając dzwon, o dźwięku takim, jakiego dotychczas ucho ludzkie nie słyszało, a któryby mnie zadowolił. Pozwalam ci na trzykrotne próby, gdy zaś się nie powiedą, biada ci!...

— Stanie się podług twej woli, o synu nieba, — pobladłemi usty wyszeptał nieszczęsny Tan-gi, i chwiejnemi kroki wyszedł z sali.

Z rozpaczą w sercu wrócił Tan-gi do domu, rozmyślając przez całą drogę nad

tem, jakby uczynić zadość żądaniom swego cesarza.

Postanowił też nie o tem nie mówić rodzinie, tylko energicznie wziąć się do pracy. Nadał więc, z trudem co prawda, wesóły wyraz swej twarzy i zawezwawszy najlepszych czeladników do pomocy, zabrał się do pracy.

Wykonano olbrzymią formę, stopiono bronz, dodając do niego, dla większej czystości dźwięku, moc złota i srebra, i wreszcie masę tę całą, przy modłach i błogosławieństwach bonzów (kapłan), wiano do przygotowanej formy.

Po jakimś czasie zastygł metal i wydo-
byto dzwon z formy... Tan-gi, z trwogą i nadzieją w sercu, zajął się ostatecznem jego wykończaniem.

Dokonał wreszcie swej pracy i dzwon, błyszczący w promieniach słonecznych jak drugie słońce, piękny, wspaniały, ponieśli słudzy do pałacu cesarskiego, gdzie na podwórku, wobec cesarza i mandarynów miała się odbyć próba.

Z zapartym oddechem przystąpił Tan-gi do dzwonu i uderzył sercem w bok jego.

I rozbrzmiał w powietrzu dźwięk czysty, potężny, uroczysty, jakim żaden z dzwonów pekińskich dotychczas nie rozbrzmiewał.

Z podziwem słuchali mandaryni tego dźwięku, i już otucha wstępować zaczęła w serce Tan-gi'ego, gdy cesarz wyrzekł:

— Czysty i piękny jest dźwięk dzwonu tego, lecz nie jest jeszcze takim, o jakim ja myślę... Czyń drugą próbę, a może mnie zadowolisz...

Rozpacz ogarnęła biednego Tan-gi.

A nuż się druga próba nie powiedzie, i co wtedy stanie się z żoną i dziećmi jego?...

Zasmucony powrócił do domu i gorliwie zabrał się do pracy, by udoskonalić swe dzieło.

Po ciężkiej pracy odlał nowy dzwon i znów zaniesiono go przed pałac cesarski. Z drżeniem przystąpił Tan-gi do niego i uderzył sercem.

Rozległ się w powietrzu dźwięk jeszcze czystszy, jeszcze potężniejszy niż poprzedniego, aż mandaryni i bonzowie z podziwu i zadowolenia kiwać poczęli głowami.

Cesarz jednak niezmienny siedział na swym złotym tronie, chmura nie zeszła z jego oblicza i po chwili wyrzekł:

— Jeszcze mu brak czegoś, ażeby był według myśli mojej... Czyń trzecią próbę, a gdy się nie uda...

Nie dokończył, lecz ze wzroku jego wiadać było, co czeka nieszczęsnego Tan-gi.

Skłonił się biedak do ziemi, i chwiejnymi krokami, nie widząc nic przed sobą, skierował się do domu.

Nie mógł już ukryć zmartwienia swego przed rodziną, i ulegając prośbom żony i dzieci, wyjawiał im powód jego.

W milczeniu wysłuchiwała Li opowiadania ojca i po krótkim namyśle, powzięła jakieś postanowienie, bo śpiesznie wybiegła z domu.

Na samym krańcu miasta, w małym pochylonym do ziemi domku, zbudowanym z bambusu, mieszkała znana w całym Pekinie czarownica, Hsi-tsi. Do niej to pobiegła piękna Li i drżącą dłonią zapukała do drzwi.

Otworzyła jej nadzwyczaj szpetna starszuszka, z olbrzymimi okularami na nosie i ochrypłym głosem zapytała:

— Cóż sprowadza do mnie piękną Li? Czyżby pragnęła posiść napój, któryby...

— Nie... nie... przerwała jej żywo Li.

— Więc czegoż pragniesz? — zapytała starszucha.

— O moja Hsi-tsi... niedarmo mówią, żeś mądrzejsza od wszystkich... Ty jedna tylko możesz mi pomóc w moim zmartwieniu.

Tu opowiedziała jej całe swe nieszczęście.

Długi czas myślała Hsi-tsi nad odpowiedzią, aż wreszcie rzekła:

— O kwiecie lilji... rada jest na to, lecz wykonać ją trudno... Dzwonowi brak czystości uderzeń serca dziewiczego, miękkości jego... Potrzeba, by serce takie, niczem nie skalane, złączyło się z bronzem, a wtedy otrzyma się dzwon o dźwięku czystym i potężnym, jakiego nikt nigdy nie słyszał...

— Dzięki ci, dzięki, o dobra Hsi-tsi... niech Budda zleje na cię wszelkie dobro swoje... — wyszeptala Li pobladłemi wargami i śpiesznie wybiegła z chatki czarownicy.

Długo zastanawiała się Li nad radą czarownicy, aż wreszcie projekt cały dojrzał jej w głowie.

Nadszedł dzień ostateczny, gdy miano spuścić roztopiony spiż do formy, dzień smutku i trwogi.

Tan-gi, otoczony rodziną, w żałobnych szatach, spalił ofiarne kadzidła przed posągami przodków, poczem, w towarzystwie rodziny, skierował się do pracowni.

Li, w białych żałobnych szatach szła obok niego, z ogniem w oczach, myśląc o czynie, jaki zamierzała wykonać.

Obszerną pracownię wypełniali bonzowie, odprawiający modły błagalne, oraz krewni i przyjaciele.

Z olbrzymiego ^{brzo} zięjącego morzem płomieni, wydobyło roztopiony spiż, by wlać



go do formy, gdy naraz Li, uściskawszy rodzeństwo i matkę, ucałowawszy stopy ojca, rzuciła się w roztopiony metal...

Przerażeni tem obecni, nie zdołali wykrzyknąć i uczynić najmniejszego ruchu, by ją powstrzymać, gdy znikła w czeluściach kotła. Roztopiony metal pochłonął swoją ofiarę. Robotnicy, nie zauważywszy tego, przechylili kocioł i spiż popłynął do formy.

Odzyskali po chwili przytomność wszyscy obecni, lecz już było zapóźno... spiż był wylany i wypełniał formę, a z mężnej dziewczyny ani śladu.

Rozdarli swe szaty rodzice i rodzina, i głośnym płaczem i jękami objawiać poczęli swe zmartwienie.

Jednak wola cesarska górowała nad nie-szczęściem i biedny Tan-gi, z bólem niezmiernym w sercu, przystąpił do obróbki dzwonu, będącego grobem cnotliwej córki jego.

.... I wyszedł dzwon ten piękny i wspañiały na podziw, jeszcze o wiele piękniejszy i wspañialszy od poprzednich.

I poniesiono go w uroczystej procesji do pałacu cesarza.

Znów zebrał się tłum mandarynów, dworzan i oficerów na podwórku pałacowym, by być obecnymi przy próbie. Wyszedł i cesarz, a przy nim stanął kat w czerwonej

odzieży, z obnażonym mieczem w dłoni, gotów w każdej chwili wykonać rozkaz pański.

Śmiało tym razem podszedł Tan-gi do dzwonu i uderzył sercem w ścianę jego.

... I rozbrzmiał w powietrzu dźwięk czysty, potężny, lecz pełen zarazem bólu i żalości, i jak skarga dziewiczego serca uleciał do niebios.

Zdumieli się wszyscy, słysząc go; zdumiał się i cesarz... Wreszcie, ażeby wyrazić swe zadowolenie, polecił wydać Tan-gi'emu beczkę złota, jako wynagrodzenie za pracę.

Lecz Tan-gi, usłyszawszy ten rozkaz, żywo postąpił ku niemu i zawołał:

— Zatrzymaj swe złoto, o synu nieba, mnie ono niepotrzebne. Nie zwróci mi ono mojej Li najdroższej — ja zaś zapłaty za córkę nie przyjmę.

Zawrócił się i wyszedł z pałacu, nie spojrzawszy nawet na zdumionego tą jego mową cesarza.

Obecni sądzili, że każe on wnet schwytać go i surowo ukarać na miejscu za to zuchwalstwo, lecz stało się przeciwnie... Cesarz rozkazał zostawić go w spokoju, dzwon zaś polecił zawiesić na wieży. Przywoławszy potem uczonych mandarynów, polecił im całe to zdarzenie opisać w kronikach, dla wiadomości przyszłych pokoleń.

I od tego czasu, ile tylko razy rozbrzmi w powietrzu potężny dźwięk dzwonu, mieszkańcy Pekinu wspominają okrutnego cesarza i bohaterską córkę bronzownika.

Ofiara Nilu.

(Arabskie).

Rok 640 po Narodzeniu Chrystusa Pana a 18 hedżiry krwawo zaznaczył się w dziejach Egiptu. Zwycięskie fale Arabów, pchane żądzą zdobycia coraz nowych krain, celem szerzenia w nich nauki proroka, pod wodzą niezwycięzonego Amru, zalały kraj, ogniem i mieczem szerząc zrazu nową wiarę.

Wszedłszy do Kairu, Amru na podziw łagodnie obszedł się ze zwyciężonymi mieszkańcami, pozostawiając im ich religję, prawa i zwyczaje, i pobrawszy niewielką danię, wybierał się w dół Nilu, żeby podbić pod swą władzę i krainy, poniżej leżące.

Zbliżał się dzień wylewu Nilu, corocznie uroczyście obchodzony. Starsi kapłani zgromadzili się w świątyni Seboka, boga Nilu, celem wybrania narzeczonej, którą poświęcano mu na ofiarę, dla ubłagania o szczęśliwy wylew. Zazwyczaj była to najpiękniejsza i najnotliwsza dziewczica.

Tego dnia tłumy ludu otaczały świątynię, z niecierpliwością oczekując ogłoszenia woli bogów. Cokolwiek dalej, na jednym z placów miejskich, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na skórze wielbłądziej, otoczony dowódcami oddziałów, oczekiwał Amru wyniku narady kapłanów.

Nareszcie zakołysały się jak fale tłumy ludu, rozstąpiły się, i wśród nich, poważnie krocząc w otoczeniu kapłanów, ukazał się arcykapłan.

Przedarli się przez tłum i podszedłszy do Amru, złożyli mu trzykrotny ukłon, a najwyższy kapłan wyrzekł:

— O wodzu! którego potęga jest niezwalczona, którego władza sięga od morza do morza, wysłuchaj woli bogów: narzeczona Nilu ma być — siostra twa, Fatma.

Zerwał się, usłyszawszy to, Amru, i wlepwszy pałający gniewem wzrok w arcykapłana, zawołał:

— Co mówisz, starcze?... Fatma — ofiarą!...

— Taką jest wola bogów i sprzeciwiać się jej nie wolno — poważnie odrzekł arcykapłan, nie uląkłszy się groźnego wzroku zwycięzcy.

Błyskawicznie między ludem rozeszła się wieść o żądanej ofierze i wkrótce, gdy się dowiedziano, że Amru odmawia wydania siostry na ofiarę Nilowi, poczęto szemrać.

Zrazu odzywały się pojedyncze okrzyki, które wkrótce zlały się w jeden olbrzymi, potężny krzyk, w którym grzmiała nuta groźby:

— Fatma musi iść na ofiarę!!!...

Groźnie spojrział Amru na otaczające go tłumy, i porwawszy się, wykrzyknął dumnie:

— Słuchajcie, mieszkańcy Kairu, potomkowie niewolników, nigdy, póki dech w mej piersi, siostra moja nie będzie ofiarą Nilu. Przysięgam wam na pamięć proroka, że prędeż miasto całe obrócę w perzynę, niżby choć jeden włos miał spaść z głowy siostry mojej!

Poczem, otoczony przez świtę, torującą mu drogę wśród tłumu, udał się do obozu, rozłożonego na głównym placu miasta.

Minął tydzień. Nil, rozgniewany, iż odmówiono mu dorocznej ofiary, nie występował z brzegów, tocząc do morza swe mętne fale. Zrozpaczony lud krążył po wybrzeżu, oczekując rychło podniosą się płododajne fale i zaleją kraj cały, roznosząc wszędzie muł dobroczynny. Próżno kapłani składali ofiary i modlili się dniem i nocą, — głód i nędza zagrażały ludnej krainie.

Na głównym placu, gdzie rozłożyły się zastępy Arabów, panowała głęboka cisza, jakby wszyscy wymarli. Stojący tylko co pa-

rę kroków wartownicy, oraz cicho snujący się od namiotu do namiotu wojownicy, wskazywali, iż w obozie tym, mimo pozornej ciszy, wre życie, gotowe każdej chwili wybuchnąć.

W namiocie Amrego zebrali się przedniejsi wodzowie arabscy na naradę, co czynić? czy ustąpić żądaniom ludu i oddać piękną Fatmę na ofiarę Nilowi?... czy też stawiać mu opór, mogący się zakończyć krwi rozlewem?...

Radzą wodzowie, jeden tylko Amru nie przyjmuje udziału w naradach. Siedzi na swoim miejscu, wsparł głowę na dłoni i myśli: „Więc on, niezwyknięty Amru, ma uleść żądaniom tłumu i oddać mu na ofiarę, jeszcze kogo?... Fatmę — ukochaną siostrę swoją... Nie — nigdy.“...

Skończyli nareszcie wodzowie swe narady, i postanowili zasięgnąć zdania wielkiego Omara.

Chwycił się tej myśli Amru; otucha wstąpiła w niego, i natychmiast, przez umyślnego gońca, wysłał list do Omara, błagając go o radę. Goniec miał poleczone pędzić, o ile sił starczy w koniu, nigdzie się nie zatrzymując, i podobniez powracać z odpowiedzią.

Tymczasem wzburzenie wśród ludu rosło. Gromadzono się przed obozem Arabów,

złorzecząc i wyzywając ich, za każdym ukazaniem się którego bądź z wojowników. Amru jednak pozostał milczącym i nie odpowiadał na pogróżki.

Nareszcie na spienionym rumaku nadbiegł wysłany do Omara goniec, i wręczwszy Amremu list, runął na ziemię nieprzytomny.

Rozerwał Amru pieczęcie pisma i przeczytał co następuje:

„Allah jest jeden i moc jego jest bez granic.

„Sługo Boży, Amru. Uczyń ze słomy i gliny postać, na podobieństwo niewiasty, przyodziej ją w bogate szaty, i przeczytawszy poniższe słowa, strąć ją do wody i rzuć za nią pismo.“

Uradował się wielce Amru, rozkazał zaraz czynić przygotowania do uroczystego pochodu i polecił zawiadomić arcykapłana o mającej nastąpić uroczystości.

Na drugi dzień zrana tłumy ludu zaległy wybrzeże Nilu, z niecierpliwością oczekując pojawienia się pochodu.

Nareszcie od strony obozu ukazał się oddział jeźdźców, w bogatych, różnobarwnych strojach, za niemi kroczyli kapłani, za którymi, otoczony gronem wodzów, jechał na wspaniałym rumaku Amru, poprzedzając lektykę, z siedzącą w niej w bogatych sza-

tach, z zakrytem obliczem, nieruchomą postacą niewieścią. Za lektyką znów postępował oddział jeźdźców.

Gromkie okrzyki powitały ten wspaniały pochód; radość tłumu przeszła granice. Wielokrotnie wykrzykiwali imię Amru, sławiąc go we wszelki sposób.

Stanął wreszcie orszak w pobliżu umyślnie wzniesionego na falach Nilu pomostu. Dwóch wodzów wyjęło z lektyki wspaniale przybraną postać niewieścią i trzymając ją, weszli wraz z Amrem i arcykapłanem na ten pomost.

Powoli tłum ucichł, i arcykapłan, wystąpiwszy na skraj, odmówił przepisane modlitwy; poczem wystąpił Amru, i rozwinąwszy pismo Omara, wygłosił:

— Allah jest jeden, a władza i moc jego są bez granic. Jeżeli sam z siebie czerpiesz siły do swojego biegu, to wstrzymaj go; ale jeśli Allah najwyższy panem fal twoich, to błagamy o to Allaha, byś wystąpił z brzegów.

Przeczytawszy to pismo, rzucił je wraz z przybraną w suknie niewieście lalką do wody.

Zaledwie zdążyli usunąć się z pomostu, gdy w górze rzeki rozległ się głuchy szum i ukazały się spienione fale, z szaloną szybkością pędzące naprzód i zabierające wszyst-

ko po drodze ze sobą. Przerażony lud rozbiegł się na wszystkie strony, a Nil rozlał szeroko swe mętne fale, roznosząc po polach ił dobroczynny...

Odtąd corocznie lalkę z gliny i słomy, wraz z kopją rozkazu Omara, strącają w fale Nilu, wzamian żywej ofiary.

G o l a n k ó w n a.

(Polskie).

Przed wielu, bardzo wielu laty, w Ojcowskich górach, u podnóża olbrzymiej skały, miał malutką chatkę kmieć Golanek. Stary to był wojak; chadzał on ongi na boje śmiało i ochotnie, i wiele wyniósł blizn, po ranach otrzymanych w bitwach. Aż na starość, sterawszy siły na wojence, straciwszy przytem dwóch synów w boju z pohańcami, zamienił miecz na lemiesz, i jak dawniej wrogów, tak teraz krajał nim ziemię rodzinną.

Miał on przy sobie jedyną córkę, Hanię, przezwaną od niego Golankówną. Młoda to była, cnotliwa i cudnej piękności dziewoja, tak, że sława o jej urodzie daleko naokół rozbrzmiewała, ściągając licznych zalotników. Ona jednak obojętnem patrzyła na nich okiem, nie wyróżniając z nich żadnego. Mimo to, starając się o jej rękę, zajeżdżali

ciągle do chaty Golanka, aż nakoniec, wielu z nich, widząc próżnemi swe zabiegi, zwrócili afekta swe do innych dziewic. Przed chatą Golanka, gdzie przedtem panował ciągły gwar i ruch, zapanowała cisza.

Pewnego letniego popołudnia wyszła Golankówna do boru na grzyby, a bory wtedy były takie, jakich teraz napróżno szukać. O parę kroków w głąb była już taka gęstwina, że ani się przedrzyj, a ciemność panowała jak w lochu jakim. Odwieczne dęby i sosny dumnie wznosiły się w górę, rozpościerając naokół olbrzymie swe gałęzie. Pod niemi zaś, dołem, kipiało życie: rozkładały się szmaragdowe kobierce mchów i traw, wiły się krzewiny, przemykała się zwierzyna, i to nie taka jak teraz, lecz same tury, łosie, jelenie, niedźwiedzie, żubry, wilki, nie licząc zajęcy i innej podlejszej zwierzyny, na którą wtedy nikt nawet nie polował. Zaledwie niekiedy, pacholę, ćwicząc się w strzelaniu z łuku, ustrzeliło które.

Udała się więc Hania Golankówna do boru takiego na grzyby i zaszła już w głąb spory kawał drogi, gdy naraz u podnóża skały, na której się znajdowała, usłyszała tentent, potem ryk krótki lecz straszny, następnie szamotanie, jakby walkę jakąś zaciętą. Wbiegła śpiesznie na skałę i spojrze-

ła w dół. Tam przedstawił się jej straszny widok.

Ukryty za olbrzymim dębem, w lekkiej, szmelcowanej na czarno zbroi, bez hełmu na głowie, z rozrzuconemi na ramionach bujnemi złocistemi włosami, stał młody rycerz, broniąc się odłamkiem kopji od napaści rozjuszonego tura, który, podrażniony otrzymanemi ranami, z krwią napłyniętymi ślepiami, wyrzucając wysoko racicami ziemię, atakował wściekle pień dębu, po za którym ukrywał się młody rycerz.

Słabły coraz bardziej siły junaka, znać to było na pięknem obliczu jęgo; odłamek oszczepu coraz słabszy dawał odpór, — jeszcze chwila, a tur dopadnie do swej ofiary i w mig rozniesie ją na strasznych rogach.

Jednem spojrzeniem objęła Golankówna tą straszną walkę i z nadludzką siłą, bez namysłu, spostrzegłszy leżący opodal olbrzymi odłam skały, posuwała ku brzegowi. Udało się jej wreszcie zrzucić go na dół. Zaświstał głąz w powietrzu i w jednej chwili, tur, trafiony w głowę, padł zmiażdżony.

W porę przyszła ta pomoc młodemu rycerzowi, gdyż właśnie wypuścił z osłabłych rąk oszczep, padł na kolana i legł na ziemi zemdlony.

Śpiesznie zbiegła ze skały Hania, i podszedłszy ku leżącemu, poczęła go cucić.

Ocknął się wkrótce rycerz z omdlenia i ujrzawszy pochyloną nad sobą Hanię Golankównę, domyślił się, że to ona przyszła mu z pomocą. Chciał jej dziękować, lecz spojrzawszy na jej cudnej piękności lice, na wdzięk całej postaci, z zachwytu nie mógł wymówić ani słowa.

Po chwili dopiero, słabym głosem zapytał:

— Ktoś ty? czyś nie bogini lasu tego?...

Zapłonila się z kolei Hania i odrzekła:

— Nie bogini jam żadna, lecz córka kmiecia tutejszego, Golanka.

Westchnął rycerz i już nie przemówił ani słowa, wciąż się w oblicze jej wpatrując.

Odпочąwszy chwilę, powstał i podpierając się oszczepem, przy pomocy Hani zaszedł do chaty jej ojca. Gościnnie przyjął go stary Golanek; opatrzył mu rany i guzy, nacierając je ziołami uzdrawiającemi i przygotował łoże w świetlicy.

On zaś widać coś w umyśle rozważał, gdyż coraz marszczył białe czoło a od czasu do czasu uśmiech rozjaśniał mu oblicze, gdy spoglądał na Hanię.

Na drugi dzień zrana zatętniało na drodze i przed chatą Golanka stanęła gromada wspaniale przybranych jeźdźców. Wszedł

przed chatę zdumiony Golanek, a tu najstarszy z przybyszów pyta go, czy nie widział gdzie wojewodzica, który, polując wczoraj w tych stronach, zapędził się za turem i znikł im z oczu.

Nie zdążył odpowiedzieć Golanek, gdy z chaty wyszedł ranny rycerz. Zeskoczył wnet z konia wódz, zeskoczyła drużyna, i otoczywszy go kołem, z radością witać poczęli, rozpytujac o powód zblakania.

Poznał wnet stary Golanek, kogo gościł w swej chacie, i ściągawszy z głowy czapę, niskim ukłonem uczcił znakomitego gościa.

Rozpowiedział wojewodzic drużynie swą przygodę, poczem, zwracając się do Golanek, rzekł:

— Chodźmy, ojcze, do izby; chcę z wami pomówić o tem, co mnie i waszą córkę zrobi szczęśliwymi.

Weszli do izby. Prosił Golanek dostojnego gościa, by usiadł, gdy ten naraz, kłaniając mu się nisko, rzecze:

— Słuchajcie, ojcze; córka wasza ocaliła mi wczoraj życie, chcę się jej wywdzięczyc; rozmiłowałem się przytem w niej na zabój; dajcie mi ją za żonę, a osadzę ją w zamku i zrobię panią.

Zdumiał się Golanek tej mowie, nie rozumiejąc początkowo, czego chce od niego

ten rycerz piękny, młody, tak wspaniale przybrany. Gdy zaś zrozumiał, stropił się srodze, zmarszczył czoło, zamyslił się chwilę, i kłaniając się, odrzekł:

— Darujcie panie, że wam odmówię, lecz Hanka moja niestworzona na panią; ot, za kmiecia jej iść, równego z nią rodu, domu i dzieci pilnować, nie zaś na zamku siadywać. Wyrzucicie ją z serca i myśli, dostojny panie, gdyż nie wiecie, czy ona was miłuje, i czy rodzic wasz zgodzi się na to.

— Ona mnie miłuje! — wykrzyknął wojewodzie i zwrócił się do stojącej niedaleko Hani. Lica jej, blade dotychczas, zalały się purpurą, i gdy wojewodzie poszedł ku niej, podała mu rękę i spuściła oczy, z których strzelał wymowny płomień.

Podprowadził ją wojewodzie do ojca, i kłękając przed nim, rzekł:

— Pobłogosławcie nas, ojcze. Widzicie, że Hania mnie miłuje, musi więc, mimo wszystko, zostać mą żoną. Jadę teraz do ojca, — dodał wstając: — poczem przyjadę na zrękowiny; a gdyby się zgodzić nie chciał...

Nie dokończył, lecz widać było, że i bez pozwolenstwa rodzicielskiego miłować ją będzie i na swoim postawi.

— Czekaście na mnie dwie niedziele, — zakończył — a ja wam dam wieści.

Pożegnał się z Golankiem, uściskał czule ukochaną, wsiadł na konia, i wkrótce cała gromada jeźdźców zniknęła w tumanie kurzu.

Mijał dzień po dniu, cicho i spokojnie, nadszedł ostateczny termin, oznaczony przez wojewodzica. Z utęsknieniem, połączonem z nadzieją i trwogą, wyglądała Hania, czy nie nadjeżdża ukochany; smutniał coraz bardziej Golanek, myśląc o losie córki.

Aż nareszcie ostatecznego dnia, na drodze od wojewodzińskiego zamku, ukazał się orszak jakiś wspaniały.

Z niepokojem patrzyli nań Golankowie, nie wiedząc, czy dobro, czy zło on im niesie, gdy naraz na spienionym rumaku nadjechał wojewodzie.

Zeskoczył z konia i z radością jął witać ukochaną. Za nim nadciągnął orszak jeźdźnych, otaczających wspaniałą kolosę, wewnątrz próżną.

— Ojciec się zgadza i pragnie rychło was zobaczyć, — rzekł wojewodzie — dla tego przysyła swą kolosę, byście mogli natychmiast udać się do niego.

Skinał, i wnet służebne, otoczywszy Hanię kołem, zawiodły ją do izby, gdzie wkrótce przybrały ją we wspaniałe szaty, które

tak podniosły jej urodę, iż gdy wyszła z chaty, wszystkich czoła pochyliły się nisko przed nią, jak przed królowną.

Westchnął ciężko Golanek, słuchając słów wojewodzica, a żal bezbrzeżny ścisnął mu serce.

.. Więc on tę jedyną córę swoją oddać musi obcemu. Cóż mu z tego, że zostanie panią, gdy może, z czasem, wyprze się ojca... kmiecia!

Nie rzekł jednak ni słowa, widząc radość córki z ujrzenia ukochanego; przeżegnał się tylko, otarł ukradkiem łzę z oczu, wziął obrazek święty, miecz, i wraz z córką wsiadł do kolasy. Orszak zawrócił i wkrótce mała chatka u podnóża skały znikła im z oczu.

Wspaniałe weselisko wyprawił wojewoda synowi z Golankówną. Gadki o niem krążyły długo pomiędzy ludem.

Udobruchał się z czasem stary Golanek, widząc szczęście córki i że szanują go oboje z mężem, nie wstydząc się kmiecego jego pochodzenia.

Chciał wojewoda zatrzymać Golanka przy sobie, lecz ten wkrótce po weselu wrócił do swej ubogiej chaty.

Powiększył mu ją wojewoda, upiększył; dodał przytem dużo ziemi, ludzi, koni i bydła i wystawił zabudowania.

I żył tak Golanek długie lata, czczony

i szanowany przez często nawiedzającą go córkę, wraz z mężem i licznymi wnukami.

Lud zaś okoliczny, chcąc uczcić pamięć cnotliwej i bohaterskiej córki, skałę, przy której znajdowała się chata, nazwał „Golanką“, głąz zaś, znajdujący się na tej skałe, a którym Hania zabiła tura, „Golankówną“.

S y r e n a.

(Skandynawskie).

W całej wiosce nazywano Piotra odludkiem.

Bo i rzeczywiście, pomimo, że był najmłodszym mieszkańcem małej rybackiej wioski; pomimo że miał największą i najmocniejszą łódź i zazwyczaj obfitszy połów niż drudzy; pomimo, że był młodym i przystojnym chłopcem, tak że niejedna rybaczka, gdy na nią spojrzeł, rumieniła się, jednakże nie żył z nikim. Prócz starej krewnej, zajmującej się gospodarstwem domowym, oraz małego chłopca, pomagającego mu, nie miał innego towarzystwa. W karczmie, oraz u sąsiadów nigdy nie bywał, raz tylko, w niedzielę, pojawiał się w kościele na południowym nabożeństwie, poczem zaraz odchodził nad morze.

Całą jego przyjemnością było leżeć na wyniosłym brzegu morza i podczas ciszy patrzeć na ciągnącą się w dal siną toń jego. Od czasu do czasu tylko poruszy się ono, wzniesie się fala jedna i druga, uderzy z szumem o brzeg, potem cofa się z powrotem, mrużąc groźnie i rozstępując się kołami coraz dalej i dalej. Czasem na horyzoncie zabieleje żagiel łódki, zdając się być w blaskach promieni słonecznych jakąś plamką świecąca.

Przypatrywał się Piotr temu wszystkiemu, przysłuchiwał się szeptom fal morskich, i zdawało się, że je rozumiał. Czasami znów, gdy morzem wstrząsała burza, wsiadał w łódź i z uśmiechem puszczał się w dal, gdzie olbrzymie bałwany wspinały się, jak góry, nacierając na się i z trzaskiem opadając, by znów się wspinać. Wątła łódź, śmiałą kierowana ręką, wpadała w największy wir. Nacierające ze wszech stron fale, zda się, że ją zmiażdżą, — lecz nie, po chwili wypływa ona dalej, cała i nieuszkodzona.

Pewnego razu, powróciwszy z połowu, zaraz po wieczery, Piotr poszedł nad morze. Księżyc dopiero co wypłynął na niebo, oblewając wszystko naokół bładem, srebrzystym światłem. Piotr, położwszy się na urwisku, wznosząc się nad piaszczystą lawicą, przypatrywał się morzu i skałom, okry-

tym z wierzchu tajemniczem światłem, podczas gdy boki i załamy pozostawały w cieniu. Morze zlekka tylko uderzało falami o brzegi, nie więc nie przerywało ogólnej ciszy. Wkrótce też Piotr, korzystając z tej bezbrzeżnej ciszy, pograżył się w zadumę.

Po pewnym czasie jakieś pluskanie na morzu zwróciło jego uwagę; spojrzął bacznie i ujrzał przybliżające się do brzegu jakieś dziwne istoty, z postaci których trudno było wnioskować, czy to ludzie, czy zwierzęta. Bojąc się je spłoszyć, przycisnął się za kamieniem i patrzył co dalej będzie.

Po chwili zagadkowe owe istoty podpłynęły do brzegu i wyszły nań. Otrząsnęły się z wody i wnet opadły z nich okrywające je skóry; siedem młodych, cudnej urody dziewczec, w powiewnych szatach, stanęło na brzegu. Rozpoczęły wesołe igraszki i śpiewy. Głosy ich słabe, lecz o pięknym, czystym dźwięku, uczyniły wielkie wrażenie na młodym rybaku. Śpiewały o morzu, o czarach jego i o przyjemnościach pobytu w niem.

Oczarowany Piotr słuchał tych śpiewów, aż nareszcie zapragnął przyjąć udział w ich wesołej zabawie. Bocznią więc ścieżką, skradając się, aby nie być przez nie spostrzeżonym, podsunął się na wybrzeże i wkrótce stanął wśród rozbawionego grona dziewczec. Krzyknęły z przestachu, ujrza-

szy go, śpiesznie poczęły naciągać skóry i rzucać się w morze. Kolejno wszystkie pograżyły się w odmętach, pozostała tylko jedna, której skórę Piotr zdołał pochwycić.

Stała przed nim drżąca, blada, ze złożonymi rękami, siostry zaś jej wychylały się z głębin morza i wzywały ją do siebie.

— Oddaj mi moją szatę, — prosiła go — a zapewnię ci najobfitszy połów!

— Nie, nie oddam ci jej, — odrzekł Piotr — lecz powiedz mi, ktoś ty?

— Jam Syrena, najmłodsza córka króla morza, — odrzekło dziewczę — oddaj mi moją skórę, a otrzymasz wszelkie bogactwa, jakie tylko zapragniesz; bez niej nie mogę żyć w morzu.

— Skóry nie oddam ci za żadne skarby morza i ziemi, gdyż pragnę posiadać ciebie i musisz zostać moją żoną.

— Nie czyń tego; ja nie przeżyję rozłąki z rodziną moją, nie będę mogła żyć na ziemi i wkrótce umrę.

— Otoczę cię wszelkimi wygodami, zastąpię ci rodzinę, wszystko. Chodź teraz ze mną, a z pewnością znajdziesz szczęście.

I powiódł z sobą rzewnie płaczącą Syrenę, ukrywszy poprzednio pod płaszczem jej skórę. Siostry jej patrzyły czas jakiś za niemi, wołając żałośnie, lecz widząc, że nik-

nie w załomach skał, przestały wołać i pograżyły się w morzu.

*

*

*

Dotrzymał Piotr danego słowa. Przeznaczył Syrenie najpiękniejszą izbę w małym swym domku i przybrał ją z niewidzianym w całej wiosce przepychem; otoczył Syrenę wszelkimi wygodami, uprzedzał wszystkie jej życzenia, tak, że w końcu poczęła miłościwiej spoglądać na niego. Na wielkie jej prośby pozwolił jej nocą wychodzić na jakiś czas nad morze, gdzie wyglądała przybycia sióstr. Skórę schował tak starannie, że mimo najusilniejszych poszukiwań znaleźć jej nie mogła. Płakała więc biedaczka i błagała go, żeby tę skórę jej oddał, gdyż inaczej długo nie pożyje na ziemi i rozplynie się jak mgła poranna, — lecz on pozostał nieugiętym.

Ona też z udzielonego pozwolenia wychodzenia nad morze korzystała skwapliwie, lecz od owego czasu siostry do brzegu nie przyplýwały.

Nareszcie pewnej nocy, gdy księżyc, podobnie jak wtenczas oblewał ziemię pięknymi potokami światła, ujrzała z radością kołyszące się na falach postacie swych sióstr.

Przyplýnęły blisko do brzegu, uniosły się nad falami i żałośnie wzywać poczę-

ły wyczekującą. Uradowana zbiegła do morza i wyciągnęła ku nim ręce. Lecz one, obawiając się zasadzki, nie zbliżały się do niej.

— Siostry! siostry kochane, — zawołała radośnie, — nareszcie was widzę; oswobodźcie mnie z tej niewoli, bo czuję, że koniec mój się zbliża!

Syreny podплыnęły jeszcze bliżej żałośnie na nią spojrzały, a najstarsza z nich rzekła:

— Siostró, starałyśmy się, prosiłyśmy ojca, by cię ratował, lecz on odrzekł, że na ziemi władza jego nie ma żadnego znaczenia. Musisz więc wynaleźć swą skórę, przyodziać się w nią i uciekać do nas, do morza.

— A jakże się dowiem, gdzie ona jest schowaną?—pytała Syrena ze łzami.

— Idź o północy do czarownika, zamieszkującego opodal w jaskini, a on ci wskaże środki, za pomocą których dowiesz się, gdzie twoja skóra jest ukryta.

— Dzięki wam, siostry! — wykrzyknęła Syrena—dzięki wam, bo mimo wszystko, mimo że on mnie kocha i otacza wygodami i zbytkiem, jakiegom nawet nie zaznała w ojcowskim pałacu, nie mogę żyć bez wolności, bez wspólnych z wami igraszek. Powietrze ziemi dusi mnie i osłabia. Dłużej tak nie mogłabym żyć.

Przysunęły się siostry jeszcze bliżej i tak gawędziły, aż wschodzące słońce zaróżowiło wschodni kraniec niebios.

Zaniepokojony długą nieobecnością Syreny, Piotr ukazał się na brzegu. Ujrzały go zdaleka siostry, pożegnały się więc skwapliwie i rzuciły w morze. Załzawionemi oczami patrzała Syrena za nimi, aż Piotr podszedł do niej i czułemi słowy począł nakłaniać do powrotu. Usłuchała go Syrena i uradowana z zobaczenia sióstr wróciła wraz z nim do domu.

Na drugą noc uprosiła sobie również pozwolenie wyjścia, lecz zamiast iść na brzeg morza, skierowała się ku skałom, rozpadliny których tworzyły głębokie jary i jaskinie.

W tych jaskiniach, według opowieści mieszkańców, przemieszkiwał straszny czarownik. Wiele złego działał on dawniej, obecnie jednak przestał już szkodzić ludziom. Obawę jednak wzbudzał wielką, i rzadko kto odważał zapuszczać się w głębokie jary i przepaście, wiodące do jaskini, będącej jego kryjówką.

Odważnie zapuściła się Syrena w przejście, prowadzące do jaskini, w jakiś czas jednak odwaga jej poczęła słabnąć. Potwory i dziwy różne zastępowały jej drogę, tak, że zamierzała już wrócić się, lecz myśl,

że nie ujrzy już sióstr, ani ojca, że nie będzie podzielać ich wspólnego życia, popchnęła ją naprzód.

Na samym końcu wąskiego przejścia zabłysło słabe światelko. Syrena podeszła szybko i ujrzała przed sobą małe drzewczki, zamykające wejście do jaskini. Zapukała w nie dwukrotnie drżącą ręką. Za drzwiami wszczęła się piekielna wrzawa, w której odzywały się: ryk niedźwiedzia, wycie wilka, szczekanie psa, miauczenie kota, krakanie kruka, skrzeczenie sowy i wiele, wiele innych odgłosów. Syrenę zdjęła straszna trwoga i już zamierzała uciec od progu, gdy w jaskini ktoś odezwał się drżącym głosem:

— Uciszcie się, dziateczki!

A gdy zwierzęta ucichły, zapytał:

— Kto tam puka do moich drzwi?

— To ja, Syrena! — odrzekła.

— Otwórz, Smoku! — rozkazał czarownik.

Drzwi się otworzyły i strwożona Syrena weszła do jaskini.

Na środku jaskini, przed roznieconem ogniskiem, z zawieszonym nad niem kociołkiem, na wysokim krześle, wybitem skórą, siedział starzec wyniosłej postawy, z długą siwą brodą. Okryty był obszernym czarnym płaszczem, na głowie miał wysoką czapkę futrzaną, przenikliwie patrzące oczy okrywały okulary, w rękę trzymał szklaną łyż-

kę, którą mieszał płyn w kociołku. Na poręczy krzesła siedział kruk i sowa, naokoło zaś rozłożyły się różne zwierzęta, jak niedźwiedź, wilk, lis, pies, borsuk, kret jeż i t. p., ogromny czarny kot usiadł przy samym ognisku. Z pułapu zwieszały się olbrzymie węże i jaszczurki; na czaszce trupiej, leżącej na stole, zastawionym różnemi narzędziami, siedziała wielka ropucha i wytrzeszczone swe ślepia zwróciła na Syrenę.

Potwór, nazwany przez starca Smokiem, wsunął się za nią i stanął za krzesłem. Wzrostu był on niewielkiego, o olbrzymiej głowie, pokrytej rodzajem łuski, o wylupiających, iskrzących oczach, z łapami podobnemi do szponów, — mógł przestraszyć najodważniejszego.

Długi czas wpatrywał się starzec w drżącą Syrenę, aż wreszcie spytał:

— Czego żądasz odemnie?

Podniosła spuszczone oczy Syrena i proszącym głosem rzekła:

— Wskaż mi sposób, w jaki mogłabym się dowiedzieć, gdzie Piotr, mój mąż ukrył moją skórę.

— Wskazać ci ten sposób nie jest dla mnie trudnem, lecz czem mnie za to wynagrodzisz?

— A czego żądasz, starcze?

— Tego, co masz najpiękniejszego — włosów twoich.

Zawahała się chwilę Syrena, usłyszawszy to żądanie starca, lecz zaraz odrzekła:

— Bierz je; wszystko poświęcę, byle tylko uzyskać upragnioną wolność.

Zaśmiał się cicho starzec, zaśmiały się zwierzęta i Smok, z ostremi nożycami przystępując do Syreny.

Zbladła biedaczka, czując zimne dotknięcie żelaza. Jedno i drugie cięcie, i złotą kaskadą spadły bujne kosy, ozdoba dziewiczej jej główki.

Powstał starzec ze swego krzesła, zdjął kociołek z nad ognia i zawiesił drugi. Wlał do niego z paru flaszeczek po kilka kropel różnych płynów i począł je mieszać. Płyn zawrzał i uniosła się z niego aromatyczna para. Dosypał później jakichś ziółek, dorzucił parę kostek i wymówił słowa zaklęcia. Para z kociołka wzbiła się w górę, poczem opuściła na dół, otoczyła starca jakby mglistym obłokiem i rozwiała się. W kociołku, na dnie, pozostało cokolwiek płynu, czerwonego jak krew.

Wylał starzec ten płyn w kryształową flaszeczkę, zatkał szmaragdowym koreczkiem i wręczył go Syrenie, mówiąc:

— Gdy słońce zajdzie i rybak powróci z połowu, wlej mu parę kropel tego płynu do szklanki z winem. Uśnie on wnet i py-

tany przez ciebie, wskaże ci miejsce, gdzie skóra ukryta. Lecz śpiesz się, gdyż działanie płynu trwa tylko godzinę.

Uradowana Syrena schwyciła flaszkę i, nie oglądając się nawet, wybiegła z jaskini. Śmiech Smoka i wycie zwierząt ścigały ją czas długi.

Śpiesznie biegła do domu, gdy na zakręcie drogi spotkała Piotra, który, zaniepokojony długą jej nieobecnością, szedł na jej poszukiwanie. Spostrzegł zaraz brak włosów i spytał:

— Gdzie twoje włosy?

— Włosy? — oddałam je siostrom, by uplotły z nich sieć dla ciebie!

Mówiąc to, potrząsała krótko obciętemi włosami, które w blasku księżyca tworzyły złocistą aureolę nad jej głową.

*

*

*

Nadszedł znów wieczór. Piotr powrócił dopieroco z połowu i zasiadł z Syreną do wieczerzy. Wesóło żartował z niej, ona również wesóło mu odpowiadała, lecz trwoga ścisła jej serce: nuż się nie uda?

Pod koniec wieczerzy kobieta usługująca podała wino. Nalała Syrena sobie w szklanekę i Piotrowi, przyczem, korzystając z tego, że się odwrócił, wpuściła parę kropli płynu

z flaszeczki. Nie podejrzewając podejścia, wypił Piotr wino; zaraz opadła mu na piersi głowa i usnął; — płyn zaczął działać.

Podeszła ku niemu Syrena i, zobaczywszy że śpi, spytała:

— Powiedz, gdzie jest moja skórka?

— Schowana w komorze, za workami z mąką, w kryjówce — bezwiednie odrzekł Piotr.

Pobiegła uradowana do komory i poczęła odsuwać worki z mąką. Odsunęła je i ujrzała kryjówkę, lecz, niestety, zamkniętą na klucz.

Powróciła więc śpiesznie do komnaty Piotr siedział jeszcze za stołem, pogrążony we śnie.

— Gdzie jest klucz od kryjówki w komorze? — zapytała.

— U mnie, na piersiach — odrzekł.

Rozpięła mu odzież i wyciągnęła klucz, zawieszony na piersiach, na żelaznym łańcuchu.

Porwała go i pobiegła do komory. Otworzyła śpiesznie kryjówkę, na dnie której leżała skóra, porwała ją i uradowana wybiegła z domu.

Właśnie upłynęła godzina, naznaczona przez czarownika na działanie płynu. Piotr się obudził i spojrzał dokoła zdumionym wzrokiem. Syrena w komnacie nie było,

odzież miał na piersiach rozpiętą i poczuł zaraz brak klucza.

Tknięty złem przeczuciem wybiegł przed dom i ujrzał w dali uciekającą Syrenę. Puścił się w pogoń za nią, lecz akurat wtedy zdażył, gdy Syrena, ubrawszy się w swoją skórę, rzuciła się w morskie odmęty, by połączyć się z siostrami, pływającymi opodal. Wiatr tylko przyniósł mu echo nucej przez nią pieśni pożegnalnej.

* * *

Na drugi dzień znaleziono Piotra leżącego na wybrzeżu, nieprzytomnego. Zaniesiono go do domu i otoczono opieką. Długi czas leżał w tym stanie, aż nareszcie ocknął się, lecz zmienił się bardzo i w krótkim czasie zestarzał znacznie.

Gdy wyzdrowiał, całe dnie i noce przepędzał na wybrzeżu, wsłuchując się w tajemnicze szepty, płynące z morza lub wpatrując się w przepastne jego odmęty, w nadziei, że ujrzy jeszcze choć na chwilę niewierną Syrenę, lub usłyszy echo jej pieśni.

Aż pewnego razu straszna burza rozszałała się na morzu. Piotrowi zdało się, że widzi w oddali, wśród wznoszących się fal, Syrenę, wzywającą go do siebie. Zbiegł na wybrzeże, wskoczył w łódkę i popłynął

w tamtą stronę. Olbrzymie bałwany poczęły miotać jak piłką wąż skorupę, aż nareszcie jeden olbrzymi bałwan, nakrył ją i przewrócił, zatapiając w czeluściach wodnych śmiałego rybaka.

Na drugi dzień morze wyrzuciło na brzeg szczątki rozbitej łodzi Piotra.

Królowa bałtyku.

(Litewskie).

Cicho drzemie stary Bałtyk. Ani jedna fala nie wzniesie się, nie wzburzy i nie uderzy o piaszczysty brzeg. Zlekka tylko wiaterek marszczy jego lśniąca powierzchnię, po której czasami przemknie łódź rybaka, śpieszącego ukryć się w nadbrzeżnych skałach, przed napadem odważnych wikingów normandzkich, których ciężkie lecz lotne łodzie, poruszane siłą kilkunastu ramion, widne zdaleka, dążą śmiało naprzód, niosąc mord i pożogę siólom nadbrzeżnym.

Przemknęły... i nie już nie wzrusza fal morza, nie nie wskazuje życia, które wrze w jego czeluściach.

W głębi zaś tych wód błękitnych wznosi się wspaniały pałac królowej Bałtyku — Juraty.

Ściany tego pałacu, zbudowane z najczystsze go białego bursztynu, wyłożone cudowną mozajką z muszli, mieniących się barwami tęczy; progi ze złota, dach z łuski rybiej, oraz okna djamentowe, obramowane rzędami pereł olbrzymiej wielkości. Na straży przed pałacem stoją wielkie jesiotry, w przedsionku rzędem ustawione są szczupaki, po komnatach zaś uwijają się gromadami zwinne śledzie — paziowie.

W głównej komnacie, na tronie z koralu siedzi królowa tych głębin — Jurata. Na głowie jej błyszczy korona, szaty jej, utkane z pajęczej przędzy, lśnią całe w promieniach przedostającego się przez fale słońca.

Lecz czegoś królowa jest wzburzona, jakieś niepomysłne wieści przyniósł jej widać goniec, bo na licach jej znać gniew. Po długim namyśle klasnęła drobnemi dłońmi, i do sali wpadły gromadą szczupaki i z niskimi pokłonami zbliżyły się do tronu.

Spojrzała na nich Jurata i rzekła:

— Słuchajcie, szczupaki, gońce moi mili, biegnijcie żwawo na wsze strony państwa mego i zwołajcie moje siostry — bogunki, by się jutro tutaj stawiły na radę.

Rozpierzchli się wnet lotni gońce po Bałtyku i po wszystkich rzekach, do niego wpadających; królowa zaś pozostała sama, niezadowolone z jej oblicza.

*

*

*

Na drugi dzień zrana, przed cudny pałac Juraty coraz zajeżdżały olbrzymie muszle, ciągnięte przez koniki morskie, i wysiadały z nich urocze bogunki, w szatach, zda się, tkanych z promieni słonecznych, i biegły po wschodach do głównej sali, gdzie już na nie czekały siostry wcześniej przybyłe.

Po chwili do sali weszła Jurata, przyjęta radosnemi powitaniem i zasiadła na tronie. Przycichł gwar i Jurata odezwała się temi słowy:

— Mile towarzyszki i siostry moje!... Wiecie, że wszechwładny ojciec mój, Pramżimas, pan nieba, ziemi i morza, mojej opiece i władzy poruczył te wody wraz z ich mieszkańcami; same jesteście świadkami moich łagodnych i szczęśliwych rządów. Żaden, choćby najmniejszy robaczek, żadna rybka nie miały przyczyny uskarżać się i narzekać na mnie, — wszyscy żyli w pokoju i zgodzie; nikt się na życie drugiego targnąć nie ośmielił. Lecz teraz spokój ten został zakłócony: tam, gdzie rzeka święta hołd memu królestwu składa, osiadł pewien nikiemny rybak, imieniem Kastitis, i pod-

czas gdy ja nie ośmielam się ani jednej rybki do własnego stołu złowić, gdy nawet flonderki, które tak lubię, po jednej połowie zjadam, a drugą nazad do morza puszczam, to ten nikczemny śmiertelnik ośmiela się burzyć powszechną spokojność, mając w swe zdradne sieci niewinnych moich poddanych i na śmierć ich skazując. Takiej śmiałości nie można puścić bezkarnie. Słuchajcie więc siostrzyce, — tu zerwała się z tronu — oto gotowe czekają łodzie, płynmy, towarzyszki miłe, nad brzegi rzeki, bo właśnie o tej porze zapuszcza on swe zdradne sieci, czyhając na niewinne ofiary. Naszemi płaszy, śpiewy i wdzięki zwabiemy go do zimnego łoża w morzu i tam dokonamy naszej pomsty. Udusimy go w swoich uściskach, zagrzebiemy go w zimnym piasku, piękne zaś oczy jego, któremi wszystkie Żmudzi i Litwy dziewice czaruje, mokrym żwirem zasypujemy.

Rzekła, i natychmiast sto łodzi bursztynowych, perłami i koralami zdobnych, a przez lotne, śnieżyste labędzie ciągnionych, przed pałacem stanęło; — i przy odgłosie czarownicych pieśni, z całym bogunek orszakiem, popłynęła królowa dokonać swego okrutnego dzieła.

Dzień jasny. Pogodnie słońce świeci. Morze ciche szkli się jakby jedna ogromna szyba; najmniejszy wietrzyk nie muska jego powierzchnii; tylko jedne łodzie bogunek płyną szybko, zostawiając za sobą ślady, nakształt rozchodzących się promieni, inne śpieszyły za nimi po tych świetlanych brózdach lub wzdymając po obu stronach łodzi leciutkie fale.

Już łąd blisko, echo odbija śpiewbogunek o nadbrzeżne lasy, a każdy jego odgłos stokrotnie brzmi złowieszczo: „biada ci, rybaku młody!“

I gdy już blisko ujścia rzeki stanęły podmorskie dziewice, ujrzały swojego wroga, jak siedząc na brzegu rozwijał sieci.

Rybak był młody i piękny, zaledwie miękki puszek mszył mu jagody, czoło prześliczne, wysokie i białe, długie i czarne ocieniały włosy. Ze spokojem jeszcze w duszy i w sercu, z piosenką na ustach, marząc o obfitym połowie, zajmował się pracą.

Wtem jakieś miłe słyszy dźwięki; podnosi oczy i spostrzega sto łodzi, błyszczących w promieniach słonecznych, w nich sto dziewic precudnej urody, a na ich czele, w łodzi okrytej purpurowym baldachimem, ciągnionej przez cztery srebrno-pióre łabędzie z białemi gołębiami, unoszącemi się przed nią, z djamentową koroną na głowie,

z bursztynowem berłem w rękę, — królowę morza. I oto rozlega się śpiew jeszcze miłszy, — i oto już go otacza przecudne morskich bogiń grono, i swemi śpiewy, swojemi wdzięki do siebie wabić zaczyna:

O rybaka piękny, młody,
Porzuć pracę, choć do łodzi:
U nas wieczne tany, gody,
Nasz śpiew troskę twą osłodzi.

Obdarzym cię boskim stanem,
Skoro z nami mieszkać będziesz:
Śród nas będziesz morza panem,
I naszą miłość posiędziesz . . .

Słyszy to rybak, patrzy zdumiony i swoim oczom nie wierzy. Co ma począć, sam nie wie; wreszcie, ujęty zdradną ponętą, powstaje i chce się rzucić w objęcia bogiń.

Naraz królowa skinieniem berła uciszy się towarzyszkom każe i tak do zdumionego rybaka rzecze:

— Stój, niebaczny młodzieńcze! wielka twa zbrodnia srogiej godną jest kary, jednak ja ci pod jednym przebaczę warunkiem. Młodość twa i wdzięki mocno mnie ujęły: gdy przyrzekniesz mię kochać, — w mojem objęciu znajdziesz szczęście. Lecz gdy wzgardzisz miłością królowej Juraty, jedną ci piosnkę zaśpiewam, a wnet będziesz przy mnie, i za [jednem dotknięciem

berła mojego zginiesz na wieki; — więc wybieraj!

Ukląkł młodzieniec, nachylił głowę i wieczną miłość zaprzysiągł.

— Teraz już jesteś moim. Pozostań, nie zbliżaj się do nas, bo jeden krok w zgubną cię przepaść wtrąci. Ja co wieczór będę przyływać do ciebie. Oto na tej górze, która odtąd od twego imienia zwać się będzie Kastity, zawsze zobaczę się z tobą.

To rzekłszy, skinęła berłem, zaszumiały skrzydła łabędzie, i cicho, bez śmiechów i śpiewów popłynęły boginie.

*

*

*

Rok już mijał, każdego wieczora królowa morza przyjeżdżała na brzeg i na górze widywała się z kochankiem.

Lecz Pramżimas, ojciec jej, wszechwładny pan nieba, ziemi i morza, dowiedziawszy się o tej tajemnej schadzce, rozgniewał się srode, iż bogini poważyła się pokochać śmiertelnika. Więc gdy jednego razu wróciła królowa do swojego pałacu, spuścił z nieba piorun, który, rozdwoiwszy morskie odmęty, uderzył w mieszkanie królowej, samą zabił, a bursztynowy pałac na drobne roztrząsał szczątki. Rybaka zaś, podczas wyprawy

na połów, schwycił w wir, i strzaskawszy mu łódź, samego wciągnął w głębinę morza.

Tam go Pramżimas przykuł na dnie do skały i położył przed nim ciało jego kochanki, na które wiecznie patrząc, zmuszony jest oplakiwać swoje nieszczęście.

Dla tego to teraz, gdy wichur morskie zburzy fale, słyhać jęk zdaleka, — to jęk biednego rybaka; woda zaś wyrzuca kawałki bursztynu — są to szczątki pałacu królowej Bałtyku.

Paweł i Piotr.

(Szląskie).

Nie było serdeczniejszych przyjaciół nad Pawła i Piotra. Jeden bez drugiego nic nie zrobił, nie postanowił, zawsze musieli się wzajemnie naradzić. Ale przyszedł czas kłeski i Pawłowi zaczęło się jakoś nie wieść: to mu zboże grad wybił, to bydło padło, konie ukradli, aż w końcu z dostatniego gospodarza stał się nędzarzem, tak, że prócz marnej chałupiny nie posiadał nic więcej. I dzieci swych nie miał ani w co przyodziać, ani czem nakarmić.

W tem ciężkiem strapieniu idzie do Piotra z prośbą o radę. Opowiedział mu całą swoją niedolę i pyta, co ma czynić.

— Ha, — odpowiedział mu Piotr — ja-
bym wolał się na pierwszej lepszej ga-
łęzi powiesić, niż dalej taki żywot pro-
wadzić.

— Oj, dawno jabym to zrobił, — odrzecz-
mu Paweł — ale cóż, nie mam ani grosza,
ażeby kupić sobie powróż, a pożyczać nie
chciałbym.

— No, już ja ci dam na to kupno — rzekł
wspaniałomyślny Piotr i dał mu aż... 6 groszy.

Żal ścisnął serce Pawłowi, ale wziął owe
6 groszy, podziękował Piotrowi i poszedł
do domu.

Zamileczał o tem całym zdarzeniu przed
żoną, a na drugi dzień poszedł do pobliz-
kiego miasteczka na jarmark. Tam chodził
i prosił o jakąkolwiek robotę, lecz w końcu,
gdy mu jej nikt dać nie chciał, kupił za
cztery grosze powróż, a za dwa bułkę i wra-
cał do domu. Gdy wszedł w las, zaczął my-
śleć:

— Gdybym wrócił do domu, to sprawił-
bym dzieciakom tą bułką wielką radość.
Ale cóż, — krótkąby ona była, bo znów za-
częłyby wołać o jedzenie, a ja nie miałym
im co dać. Lepiej już tak zrobię, jak mi
Piotr radził.

Wybrał więc w lesie potężną sosnę, za-
rzucił powróż na gałąź i już miał założyć
pętlę na szyję, gdy naraz, niewiadomo skąd,

zjawił się przy nim jakiś strzelec i zawołał:

— A ty tu co robisz?

Przełękł się Paweł, zobaczywszy go, i wyznał mu szczerze, co było powodem jego postępowania. Wysłuchał go strzelec, poczem odwiązał powróż, i obiwszy nim Pawła, kazał mu iść do domu.

Poszedł Paweł do domu, ale przez drogę wciąż się oglądał, nie widząc zaś nigdzie za sobą strzelca, chciał się znów powiesić.

Ale w jednej chwili znalazł się przy nim znów ten strzelec i znów porządnie go obiwszy, radził mu tego głupstwa zaniechać.

Gdy wyszedł już na skraj lasu, brała go pokusa tam się powiesić, ale strzelec i tym razem mu przeszkodził.

Poszedł więc miedzą do domu, a po drodze znalazł się pod gruszą Piotra.

Stała ona na skraju pól jego i wyciągała swe gałęzie ku niemu, jakby go zapraszając, żeby się na niej obwiesił. Wlaź więc na nią, umocował powróż na gałęzi, i już miał zejść, gdy spojrzawszy, spostrzegł wypróchniałą w drzewie dziuplę; zajrzał w nią, wsunął rękę i namacał moc pieniędzy złotych. Zdrętwiał cały, odurzony tym widokiem; spojrzął na drogę, a tu jedzie z miasteczka kilka fur, a przy nich idzie znajomy strzelec.

Zeskoczył więc z drzewa i zostawiwszy powróż na gałęzi, pędem biegł do domu. Opowiedział żonie całą tę swoją przygodę, a ona mu rzecze:

— Idźmy, wybierzmy te pieniądze z dziupli. Pewnie ten, co je tam niegdyś włożył, dawno już nie żyje.

Poszli więc nocą, wybrali wszystkie pieniądze i przenieśli je do domu.

Na drugi dzień zakupili różnego dobrego jedzenia i zaprosili na tę ucztę sąsiadów, a między nimi i Piotra.

Zdumiał się Piotr, widząc u nich takie bogactwa i zaraz pomyślał:

— Skąd się u nich to wszystko wzięło? Wczoraj nie mieli co jeść, a dziś... Oho, czy się wypadkiem nie dobrali do moich pieniędzy w gruszy.

I zaraz, nocą, prosto od Pawła, pobiegł do gruszy, by sprawdzić, czy są tam jego pieniądze.

Noc była przepiękna. Księżyc błyszczał na niebie, oświecając wszystko. Przybiegł Piotr do gruszy, patrzy w dziuplę i zdreptał: w dziupli pustki, — niema ani grosza. Rozpacz go przejęła i żal za straconemi pieniędzmi, a tu jeszcze, jakby na pokusę, buja mu się nad głową powróż, zostawiony przez Pawła. Na zegarze zamkowym wybiła północ. Nie namyślając się długo, porwał

Piotr powróż, założył pętlę na szyję i zawisł na nim.

W tejże samej chwili pojawił się przy nim strzelec, schwycił go za nogi, i uradowany, począł bujać się na nich, wyprawiając uciészne skoki.

Tak skończył zły Piotr; Paweł zaś, gdy nikt się po te pieniądze nie zgłosił, żył dalej w dostatku i szczęściu, wspomagając wszystkich ubogich.

Pasterz i zaklęta dziewica.

(Kaszubskie).

Na wysokiej górze wznosił się ongi, przed laty, wspaniały zamek. Mieszkańcy jego żyli hucznie i wesoło; codziennie odbywały się tam uczyty, zabawy, tańce, aż rozlegało się wokoło.

Pewnego razu usłyszano tam huk straszny: to wzgórze się rozwarło, pochłonęło zamek i znów nad nim zamknęło swą powierzchnię, tak że nic nie wskazywało miejsca, gdzie stał dawniej.

Minęło od tego czasu lat wiele. Pamięć o zamku tym zaginęła między ludźmi, pozostało tylko opowiadanie, jakby baśń jaka.

Pewnego razu zapędził pasterz swe bydelko do podnóża tego wzgórza i tam, sie-

dząc pod brzozą, spostrzegł, że ze wzgórza wyszła precudnej urody dziewczyna i zaczęła prać chusty w pobliskim strumieniu.

Zdumiał się tem pasterz wielce i chciał przyjrzeć się jej zblizka. Podszedł więc i pilnie się przypatruje, gdy naraz ona doń rzecze:

— Mój dobry człowieku, żebyście tylko chcieli, to moglibyście mnie wybawić, gdyż jestem wraz z całym swym dworem zakłęta pod ziemię przez złą wiedźmę.

Pasterz zdziwił się jeszcze bardziej; pomyślał chwilę, aż wreszcie rzekł:

— A cóż mam uczynić, by was zbawić?

— Nic więcej, tylko zbudować samemu w okolicy trzy kościoły.

— Co? zbudować trzy kościoły! — zawołał — nie, tego nie mogę zrobić.

— A to dla czego?

— Jakżeż mam budować kościoły, kiedy nawet siekiery nie umiem trzymać w ręku, a cóż dopiero robić nią.

— Ja wam dam taki topór, że jak go weźmiecie do ręki, to sam wszystko zrobi.

Pomyślał znów pasterz chwilę, aż wreszcie rzekł:

— Ha, no, jeśli tak, to dobrze.

Znikła wnet panna we wnętrzu góry, a po chwili wyszła z toporem w ręku i podając mu go, powiedziała:

— A pośpieszcie się, moi kochani, to już ja was obficie wynagrodzę.

Zabrał się ochoczo pasterz do pracy i w krótkim czasie w Szczodrowie, poblizkiej wsi, stanął kościół, z wieżami, ołtarzami, tak że brak było w nim tylko dzwonów.

Poszedł więc do owej panny po radę, a ta mu mówi:

— Idźcie jutro nad jezioro po wschodzie słońca, tam na brzeg wyjdą dzwony. Weźcie największy, a te małe same za nim pójdą.

Zrobił pasterz tak, jak mu powiedziała. Zbliżył się do brzegu, patrzy, a tu na nim leżą dzwony i wszystkie razem wołają:

— Weź mnie! weź mnie!

Podszedł do nich, popatrzył na każdy i pomyślał: dużemu rady nie dam, spróbuję mniejszy.

Schwycił go za ucho i jak nie wyciągnął na brzeg. Wziął go tedy na ramiona i łatwo zaniósł do kościoła.

Mniejszy dzwon i sygnaturka same poszły za nim, podczas gdy wielki z płaczem zanurzył się w jeziorze. Od tego to czasu w kościele w Szczodrowie są tylko dwa dzwony i sygnaturka.

Wykończył wreszcie pasterz ten kościół w Szczodrowie, wnet też wystawił kościół w Wysinie, wreszcie, gdy miał już budować trzeci, podszepnął mu zły:

— Poczóż masz budować trzeci kościół. Dość już dla Pana Boga dwa domy, — wystaw teraz trzeci dla ludzi.

Usłuchał tych podszeptów pasterz i rozpoczął budowę karczmy, ale gdy zaczął kłaść podwaliny, topór mu się wyszczerbił i nikt nie mógł go naprawić.

Idzie więc z nim ku górze i woła — a tu wychodzi do niego ta panna i z płaczem zaczyna wymawiać mu jego niewdzięczność:

— O ty, niewdzięczny, Nielitościwy bez serca człowiecze! Dla czegożeś nie posłuchał mej rady.

Z lamentem począł przeproszać ją pasterz, obiecując zło uczynione naprawić, byle tylko mu przebaczyła.

Zamyśliła się owa panna chwilę, a potem rzekła:

— Jest jeszcze jeden sposób, by mnie ocalić, ale się boję powiedzieć ci, byś mnie znów nie zdradził.

Począł jej przysięgać i przyrzekać, że już będzie jej posłusznym, że już wszystko wykona, co tylko ona każe, aż wreszcie ulegając prośbom jego, rzekła:

— Dobrze więc, zgadzam się; weźmiesz mnie na plecy i zaniesiesz do chrztu, do szczodrowskiego kościoła. Ale jeden stawiam warunek: oto dam ci jedwabną chust-

kę, przez którą musisz pocałować wszystkie spotkane po drodze istoty żyjące, choćby były najobrzydliwsze, inaczej będę zgubioną już na zawsze.

— Dobrze, uczynię to — odpowiedział jej pasterz.

Na drugi dzień, gdy przyszedł do góry wyszła do niego ta panna i podaje mu chustkę jedwabną. Wziął więc ją na ramiona i niesie do szczodrowskiego kościoła, lecz w drodze zaczynają zastępować mu drogę przeróżne wielkie jaszczurki, węże, żmije, padalce; wszystko to się spina, by je pocałował — on też sumiennie to wszystko wykonał.

Przyszedł wreszcie do kościoła i wchodzi do kruchty; tu naraz z kąta wyłazi olbrzymia ropucha i wspina się do niego, by i ją pocałował.

Pomyślał sobie wtenczas:

— Teraz jestem już w kościele, więc chyba nie potrzebuję jej całować, — i nie namyślając się, kopnął ją silnie.

Potoczyła się ropucha w kąt i znikła, a jednocześnie poczuł, że nie ma panny na ramieniu. Ogląda się, a już jej nie widać, tylko w odali usłyszał płacz jej rzewny.

Zasmucił się tem wielce i znów zaczął paść bydło pod górą, w nadziei, że kiedyś ją ujrzy. Lecz napróżno od tego czasu panna ta nie pokazała się nikomu.

Uburtis i djabeł.

(Litewskie).

Strach przejmował wszystkich przechodzących mimo góry Dżuga, na Litwie, gdyż każdy, o wszelkiej porze dnia, widział tam pięknego niemczyka, przyodzianego w kusy fraczek, jak z gracją przeskakiwał z drzewa na drzewo, ze skały na skałę.

Omijali więc ludzie zdaleka tą górę, bo gdy kto zablizko podszedł do niemczyka, wnet ten go wyzywał na zakład, a po przegraniu porywał i dusił.

Zginęło tak wielu i nikt już nie odważał się stawać do zapasów z tym zamorskim djabełem. Aż nareszcie, w zapadłym kącie Litwy znalazł się junak, imieniem Uburtis, który nie uląkł się losu poprzedników i postanowił zmierzyć się z niemczykiem.

Poszedł więc na górę, usiadł pod brzozą, tuż przy bagnie, gdzie ów niemczyk przebywał i zaczął pleść łapcie z łyka.

Po paru minutach spuścił się z pobliskiej sosny niemczyk, z układną minką podszedł do Uburtisa i rzekł:

- Dobry dzień, człowiecze.
- Dzień dobry — odrzekł mu tenże.
- Co tu robisz?
- Łapcie plotę, jak widzisz!

— Któż ci to pozwolił?

— Gdy co robię, nie mam zwyczaju nikogo pytać o pozwolenie.

— Jak śmiesz na mojej ziemi i z moich drzew łyka obdzierać! — zawołał rozgniewany niemczyk — ja tylko jestem tu panem, i nikt bez mego zezwolenia przebywać tu nie może; jeżeli nie wygrasz zakładów, jakie ci przedłożę, natychmiast marnie zginiesz.

— Zgoda! — odrzekł Uburtis — ale gdy wygram, co mi dasz?

— Kapelusz pełen pieniędzy.

— Dobrze; jakież więc będzie pierwszy zakład?

— Sprobujemy się, kto silniejszy.

— Bardzo dobrze.

— Więc bijmy się!

— Dajżeż spokój; co tobie do mnie się porywać, kiedy nawet stuletniemu dziadowi memu, który oto o kilkadziesiąt kroków śpi, nie dasz rady.

Mówiąc to, Uburtis wskazał na leżącego opodal niedźwiedzia.

Poskoczył niemczyk do misia i chwycił go oburącz za szyję. Rozbudzony nagle ze snu niedźwiedź rozgniewał się srodze, schwytał go za ramiona, rzucił o ziemię i począł bić potężną swą łapą tak, że niemczyk tylko cicho jęczał. Zmordowany, zbity, z tru-

dem wyswobodził się nieborak z przyjacielskich uścisków niedźwiedzia.

Odetchnął chwilę i rzekł:

— No, jeden zakład wygrałeś, człowiecze, teraz drugi; rzucajmy, kto dalej rzuci?

Mówiąc to, porwał leżący blisko ogromny kamień i rzucił go, — kamień zaświstał i spadł dopiero za trzy godziny. Uburtis zaś miał już przygotowanego w ręku skowronka i puścił go; głupi niemiec rozumiał, że to kamyk, — czekają godzinę, czekają drugą, trzecią, czwartą, piątą, dziesiątą — kamień nie spada.

— Wygrałeś, człowiecze, drugi zakład, — teraz trzeci: kto z nas biega prędzej? ty uciekaj — ja będę cię gonić.

— Co tobie, niemiecze, ze mną się równać, ty nawet mojego wczoraj urodzonego dziecięcia nie dogonisz; jeżeli chcesz, spróbuj się z nim!

To mówiąc, postraszył śpiącego w krzakach zająca. Zając się zerwał, skoczył i zaczął uciekać. Niemiec popędził za nim, lecz wkrótce wrócił zmęczony strasznie, nie dogoniwszy zająca.

— Wygrałeś i teraz, człowiecze, — rzekł — pozostaje jeszcze jeden zakład i, pieniądze twoje. Widzisz tę kulę żelazną?... waży ona 100,000 funtów. Kto ją z nas wyżej rzuci?

— Spróbuj naprzód ty, djabie niemiecki! —
rzekł Uburtis.

Schwycił kulę tamten jedną ręką i wyrzucił tak wysoko, że zupełnie znikła z oczu, gdy zaś spadła, to do połowy zaryła się w ziemię.

— No, teraz na ciebie kolej; spróbuj i ty, człowiecze!

Uburtis przyłożył rękę do kuli i zaczął się przypatrywać obłokom, które nad niemi po niebie się przesuwały.

— Czego się im tak przypatrujesz?

— Czekam, żeby ta ogromna chmura nadeszła. Mój brat jest w niebie kowalem i ma kuźnię za tym obłokiem. Czeką więc, żebym mu rzucił tę kulę, gdyż bardzo potrzebuje żelaza.

— Ach!... zmiłuj się, człeczelo!.. — wykrzyknął Niemiec. — Nie rzucaj jej; jest mi ona bardzo potrzebna. Wiem i tak, że jesteś silny. Wygrałeś wszystkie zakłady; daj mi więc swój kapelusz, a ja napelnę go złotem.

— Dobrze, chodź ze mną w głąb lasu, i tam oddasz mi należną kwotę.

Będąc pewnym swej wygranej, oddawna już przygotował sobie Uburtis jamę u góry wązką, a rozszerzającą się coraz bardziej w głąb. Przykrył ją z wierzchu dziurawym kapeluszem i obłożył naokoło mchem, żeby

djabeł tej sztuki nie poznał. Przeprowadził zatem Niemca do tego kapelusza i rzekł:

— Oto jest, panie Niemcze, mój kapelusz; syp pieniędzy ile wlezie!

Wysypał Niemczyk jeden wór pieniędzy, — w kapeluszu ani znać; wysypał drugi — również ani znaku, przyniósł trzeci, czwarty, dziesiąty, setny, zmęczył się strasznie, aż gdy nareszcie zapełniła się jama, nappełnił się i kapelusz.

Od tego czasu nigdy nie pokazał się djabeł, bo był nim ów Niemczyk, na górze Dżuga. Uburtis zaś wybrał wszystko złoto z jamy, wybudował sobie wspaniały dom, nakupił dobytku, miodu i różnego jedzenia; codzień zapijał sobie wino i tak do śmierci używał, ugaszczając licznych znajomych i przyjaciół.

Junak bez bojaźni.

(Niemieckie).

Pewien ojciec miał dwóch synów. Starszy z nich był mądry, pojętny i zdolny do wszystkiego, młodszy zaś był głupi, nie rozumiał i niczego się nie mógł nauczyć. Spotykając go, ludzie mówili:

— Wiele troski musi mieć ojciec z takim synem.

Wszystkiem się zajmował syn starszy, lecz jeżeli ojciec posyłał go gdzie późno, zwłaszcza nocą, i jeżeli, na dobitkę, droga szła obok cmentarza, lub jakiego innego straszego miejsca, z bojaźnią mówił:

— Nie, ojcze, ja za nic tam nie pójdę... dreszcze przejmują mnie ze strachu.

Kiedy znów zimą, wieczorem, przy kominku, zebrani słuchali opowiadania różnych historii, od których włosy na głowie powstawały i słuchacze coraz wykrzykiwali: „Ach, jakie to straszne!..“ młodszy syn, siedząc w kącie, w żaden sposób nie mógł zrozumieć, co to ma znaczyć.

— Dla czego to oni wciąż mówią: „Jakie to straszne,“ „dreszcze mnie przejmują“, „trzęsę się ze strachu“... Jam nigdy jeszcze nie straszego nie widział. Widać to jest jedna z tych nauk, których nie mogę zrozumieć.

Pewnego razu rzekł ojciec do niego:

— Słuchaj ty, leniwcze: jesteś już duży, i silny, czasby już było nauczyć ci się czegoś, byś mógł zarobić na życie. Patrz, jak pracuje twój brat, ty zaś jesteś do niczego.

— Eh, ojcze! — odpowiedział on na to: bardzobym chciał nauczyć się czegoś. Ot, na przykład, chciałbym nauczyć się trząść ze strachu, gdyż nie mam o tem najmniejszego pojęcia.

Słyszając to starszy brat roześmiał się i pomyślał:

— Boże miłosierny!.. co to za głupiec z mego brata!.. Nic już chyba z niego nie będzie. Przecież, jeżeli kto chce osiągnąć coś na starość, to musi dążyć do tego za młodu.

Ojciec zaś westchnął i rzekł:

— Trząść się ze strachu jeszcze się nauczysz, lecz to ci chleba nie da.

Wkrótce potem zaszedł do nich w gości-
nę organista. Ojciec opowiedział mu o swem
zmartwieniu i skarżył się, że młodszy syn
jego jest do niczego, nie nie umie i nicze-
go się nie uczy.

— Uważajcie tylko: kiedym go spytał,
czego się chce uczyć, żeby zarobić na chleb,
to odrzekł, że chciałby nauczyć się trząść ze
strachu.

— No, jeżeli tylko na tem zależy, — od-
rzekł mu organista—to ja mogę wam po-
móc. Przyślijcie go do mnie, a ja go już
nauczę.

Ucieszył się ojciec wielce, myśląc, że chło-
piec się odmieni. Organista zaś wziął chłop-
ca z sobą i pokazał mu jak trzeba dzwonić.

Po dwóch dniach rozbudził go o półno-
cy, kazał mu wstać i iść do dzwonnicy.

Kiedy chłopiec wszedł na górę i obrócił
się, żeby ująć za sznur, zobaczył przed so-

bą, na drabinie, na przeciw okna, stojącą jakąś białą postać.

— Kto tam? — krzyknął.

Postać nie nie odpowiedziała i ani się poruszyła.

— Odpowiadaj! — krzyknął chłopiec — albo cię przepędzę. Nie masz tu nic do roboty nocą.

Organista (gdyż on to był) stał dalej nieruchomo, ażeby chłopiec wziął go za ducha i zląkł się. Ten jednak drugi raz krzyknął:

— Czego tu chcesz!.. odpowiadaj, jeżeliś dobry człowiek, bo zrzucę cię z drabiny.

Organista pomyślał: — eh, to tylko groźby, i nie wydając głosu, stał dalej jak figura kamienna. Trzeci raz jeszcze zapytał się chłopiec, i nie otrzymawszy odpowiedzi, uderzył i zepchnął rzekomego ducha z drabiny.

Rozległ się krótki krzyk i duch, przeliczywszy wszystkie stopnie, legł jęcząc w kącie.

Chłopiec, skończywszy dzwonić, przyszedł do domu i położył się, nie nie mówiąc, do łóżka i zasnął.

Organiścina długo czekała na męża, lecz ten się jakoś nie zjawiał. Nakoniec, obawiając się, że mu się co złego stało, rozbudziła chłopca i pyta:

— Nie wiesz, gdzie mój mąż? Przecież on zaraz po tobie poszedł do dzwonnicy.

— Nie, — odpowiedział chłopiec: — tylko na drabinie, na przeciw okna, stał ktoś, że zaś na moje wołanie nic nie odpowiadał i nie odchodził, wziąłem go za złoczyńcę i zepchnąłem ze schodów. Idź, zobacz, czy to nie twój mąż. Szkoda, jeżeliby to był on.

Organiścina pobiegła do dzwonnicy i zobaczyła męża swego, leżącego w kącie i jęczącego z bólu, gdyż spadając z góry złamał nogę.

Przeniosła go do domu i z głośnym krzykiem pobiegła do ojca chłopca.

— Twój syn, — krzyczała — zrzucił z drabiny mego męża, tak, że złamał nogę. Niech się dziś jeszcze od nas wynosi.

Wystraszony ojciec przybiegł do syna i zawołał:

— Co ty wyrabiasz, łotrze jeden; zupełnie, jakby cię zły duch opętał.

— Wysłuchaj mnie, ojcze, — odpowiedział chłopiec: — ja jestem zupełnie niewinien... stał on tam nocą, jak człowiek, mający złe zamiary. Nie wiedziałam kto to, i prosiłem go trzy razy, by mi odpowiedział, lub odszedł.

— Tylko same zmartwienia mam przez ciebie — przerwał mu ojciec. — Idź precz mi z oczu; nie chcę już dłużej patrzeć na ciebie.

— Dobrze, ojcze, pójdę sobie. Pozwól mi tylko doczekać się dnia, a ja udam się w podróż, żeby nauczyć się strachu; może raz nareszcie nauczę się czegoś, co mi byt zapewni.

— Ucz się, czego ci się żywnie spodoba — odpowiedział ojciec — dla mnie to jest obojętne. Masz oto 50 talarów i idź z tem, gdzie cię oczy poniosą. Nie mów tylko nikomu, skąd idziesz i kto jest twoim ojcem, żebyś nie potrzebował wstydić się za siebie.

— Dobrze, ojcze; jeżeli tylko tego sobie życzysz i nic więcej nie wymagasz odemnie, to postaram się wszystko wypełnić.

Kiedy rozświtało, chłopiec schował do kieszeni swe 50 talarów, pożegnał się z ojcem i puścił się w drogę, mrużąc:

— Ach, żebym mógł choć raz zatrząść się ze strachu. Choć raz chciałbym poznać to uczucie.

Usłyszał to jeden z przechodniów i podszedł do niego. Zapoznali się i odtąd szli już razem. Wkrótce zobaczyli przy drodze szubienicę i przechodzień ów rzekł:

— Widzisz to drzewo, na którym siedmiu ludzi zbrodniarzy, których wczoraj pokarano, uczy się fruwać? Siadaj pod niem

i czekaj nocy, a z pewnością nauczysz się strachu.

— No, jeżeli tylko na tem polega nauka, to nie trudno mi będzie ją wypełnić; lecz jeżeli tak prędko nauczę się strachu, to tobie należeć się będzie odemnie za naukę 50 talarów. Przyjdź jutro rano tutaj do mnie.

Poczem poszedł pod szubienicę i usiadł pod nią, oczekując nocy. Wieczorem poczuł chłód i rozpałił ogień; o północy zaś powiał wiatr tak zimny, że, mimo ognia, chłopiec zmarzł porządnie. Wicher targał wiszącymi na szubienicy ciałami i kołysał niemi na wszystkie strony.

Chłopiec pomyślał:

— Mnie tu przy ogniu jest bardzo zimno, a jakżeż oni muszą tam marznąć, kołysząc się na wietrze.

Że zaś miał bardzo czułe serce, przystawił drabinę, wszedł na szubienicę, odczepił jednego wisielca po drugim i spuścił wszystkich na ziemię. Dołożył potem ognia i usadził ich wkoło, żeby mogli się ogrzać. Lecz oni siedzieli nieruchomo, tak, że ogień dotykał ich odzieży. — Zawołał więc:

— Bądźcie ostrożniejsi, bo znów was powieszę.

Lecz trupy nie odpowiadały, milczały i nie przeszkadzały palić się swej odzieży. Wtedy się chłopiec rozgniewał i rzekł:

— Jeżeli sami nie chcecie się odsunąć od ognia, aby was nie palił, to ja was strzedz nie będę; sam zaś nie chcę spalić się z wami.

I powiesił ich znów. Potem położył się przy ogniu i zasnął.

Na drugi dzień przechodzień, chcąc otrzymać 50 talarów, przyszedł do niego i pyta:

— Teraz pewnie już wiesz, co to znaczy trząść się ze strachu?

— Nie — odpowiedział junak. — Skąd mogłem strach poznać? Ci, co tam wiszą na górze, nie otworzyli nawet ust i są tak głupi, że pozwolili palić się swoim marnym łachmanom.

Przechodzień, przekonawszy się, że nie uda mu się zarobić 50 talarów, poszedł dalej, mówiąc:

— Nigdy jeszcze nie spotkał takiego cudaka.

Junak zaś puścił się w dalszą drogę, mrużąc:

— Ach, żebym mógł choć raz zatrząść się ze strachu, choć jeden raz.

Usłyszał to jadący za nim woźnica i spytał:

— Ktoś ty?

— Nie wiem — odpowiedział chłopiec.

— Skąd jesteś? — pyta woźnica.

— Nie wiem.

— Kto jest twoim ojcem?

— Nie śmiem tego powiedzieć.

— Co tak wciąż mruczysz?

— Eh, odpowiedział chłopiec—jabym bardzo chciał zatrząść się ze strachu, lecz nikt mnie tego nie może nauczyć.

— Porzuć te brednie, — rzekł woźnica — siadaj lepiej przy mnie, podwiozę cię trochę.

Chłopiec się zgodził i wieczorem zajęchali do oberży, gdzie zamierzili przenocować. Wchodząc do izby, chłopiec znów powiedział:

— Ach, żebym przynajmniej tutaj mógł zatrząść się ze strachu.

Oberżysta, usłyszawszy to, roześmiał się i rzekł.

— Jeżeli koniecznie chcesz poznać, co to jest strach, to tu możesz mieć najlepszą sposobność do tego.

— Daj spokój, — rzekła mu żona — tylu już ludzi straciło życie przez ciekawość. Wielką byłoby szkoda, żeby i te jego piękne oczy przestały patrzeć na świat Boży.

Lecz chłopiec powiedział:

— Choćby to było najtrudniejsze, ja koniecznie muszę nauczyć się strachu; dla tego tylko puścił się w świat, na wędrowkę.

Nie dał spokoju oberżystcie, aż ten objął go, że nieopodal znajduje się zamek zaczarowany, gdzie każdy nauczyć się może strachu, jeżeli zgodzi się przepędzić w nim

trzy noce. Śmiałkowi zaś, który się odważy na to, obiecał król dać córkę, najpiękniejszą z dziewic na świecie, za żonę. W zamku ukryte są skarby niezmierne, strzeżone przez złe duchy; otóż ten, kto je wyswobodzi, z biedaka stanie się bogaczem. Wielu jednak już tam poszło, lecz ani jeden nie wrócił.

Na drugi dzień rano poszedł junak do króla i rzekł:

— Jeżeli wasza królewska mość pozwoli, to jabym chciał przepędzić trzy noce w zamku zaczarowanym.

Spojrzał król na niego, spodobał mu się widać, gdyż rzekł:

— Możesz zażądać trzech przedmiotów i wziąć je z sobą do zamku.

— Proszę więc—odrzekł chłopiec—o ogień, ławkę i warsztat tokarski z nożem.

Król rozkazał zanieść to wszystko do zamku.

Przed wieczorem poszedł chłopiec do owego zamku, rozpałił ogień w jednej z komnat, postawił przy ogniu warsztat z nożem i usiadł na ławce.

— Pewno i teraz niczego się nie nauczę.

Okolo północy chciał poprawić drzewo, żeby się lepiej paliło; rozdmuchując ogień, usłyszał z kąta komnaty:

— Miau, miau! — jak nam zimno.

— Oj, głupie koty!.. — wykrzyknął — dla czego wrzeszczycie? Jeżeli wam zimno, to chodźcie, siadajcie przy ogniu i grzejcie się.

Jednym silnym skokiem znalazły się przy ogniu dwa duże, czarne koty, zasiadły po obu stronach chłopca i dziko patrzyły na niego swemi błyszczącymi ślepiami.

Po jakimś czasie spytały się:

— Nie zagrałbyś z nami w karty?

— Dla czegożby nie, — odpowiedział — lecz pokażcie mi wpierw swe łapy.

Wtedy podały mu swe łapy.

— Oj, oj! jakie wy długie macie pazury. Poczekajcie, teraz wam je przykróczę.

Mówiąc to, chwycił koty za łapy, położył je na warsztacie i mocno przyśrubował.

— No, — rzekł — kiedym zobaczył wasze łapy, to teraz odechciało mi się grać z wami w karty.

I wyrzucił je przez okno do jeziora. Skończywszy z tą parką, zasiadł znów przy ogniu, lecz naraz ze wszystkich stron, z każdego kąta, wybiegły inne czarne koty i czarne psy na ognistych łańcuchach. Przybywało ich coraz tyle, że nie można się było skryć przed niemi. Zaczęły strasznie miauczeć i szczekać, następowały na chłopca, rozrzucały drzewo i chciały zagasić ognisko.

Spokojnie patrzył on na to przez czas jakiś, lecz kiedy przebrało to miarkę, zerwał się, złapał nóż i krzyknął:

— Wynoście się stąd!.. i począł kłuć ich nożem.

Niektóre uciekły, niektóre pozabijał i wrzucił do jeziora.

Powróciwszy, rozpałił na nowo ogień, i zaczął się grzać. Wreszcie poczęły mu się kleić oczy i zachciało się spać. Obejrzał się i zobaczył stojące w kącie olbrzymie łóżko.

— W samą porę się zjawiło — rzekł i położył się na niem.

Zaledwie zamknął oczy, łóżko samo zaczęło się poruszać i obiegło cały zamek wokoło.

— Dobrze, — rzekł — lecz czyby nie można cokolwiek prędej?

Łóżko pojechało tak prędko, jakby ciągnęła je szóstka koni. Przeskakiwało progi i schody, w dół i w górę, dalej i dalej, aż wreszcie przewróciło się i przygniotło go swoim ciężarem, jak górą. Pozrzucił on z siebie poduszki prześcieradła i pierzyny, wyszedł z pod łóżka i — rzekł:

— Niech kto chce na niem jedzie; ja mam już tego dosyć!

Potem położył się koło ognia i zasnął.

Na drugi dzień zrana przyszedł król i zobaczywszy go leżącego na ziemi, pomyślał, że złe duchy go zabiły i rzekł:

— Żal mi tego pięknego zucha.

Usłyszał to, wstał i odpowiedział:

— No, do tego jeszcze nie doszło.

Zdziwił się król wielce, uradował i spytał, jak się czuje po dzisiejszej nocy.

— Bardzo dobrze, — odpowiedział junak ot, już jedna noc przeszła, tak samo przejdą i dwie następne.

Gdy wrócił do oberży, oberżysta ze zdumienia osłupiał i wykrzyknął:

— Już myślałem, że ciebie nie zobaczę żywym! Cóż? nauczyłeś się trząść ze strachu?

— Nie, — odpowiedział chłopiec — wszystko napróżno. Ach, żeby mnie kto tego nauczył.

Na drugą noc znów poszedł do starego zamku, siadł przy ogniu i tak samo zaczął powtarzać swe stare:

— Ach, żeby choć raz zatrząść się ze strachu.

Około północy posłyszał hałas i stukanie, z początku ciche, potem coraz głośniejsze i głośniejsze; wreszcie wszystko ucichło i z komina wypadła z głośnym krzykiem połowa człowieka; połówka ta upadła przed chłopcem.

— Hej! hej! — krzyknął on — dla czego tak mało? Dawajcie i drugą połowę.

Hałas wszczął się znowu, dało się słyszeć tupanie i wycie, i druga połówka upadła mu pod nogi.

— Poczekaj, — rzekł on—rozpalę dla ciebie większy ogień.

Zrobił to i obejrzawszy się, zobaczył, że obie połowy się zrosły i straszny olbrzym usiadł na jego miejscu.

— Tak to nie uchodzi, — rzekł chłopiec — przecież to moje miejsce.

Potwór chciał go odepchnąć, lecz on na to nie pozwolił, silnie pchnął go i znów zasiadł na swoim miejscu. Wtedy jeden za drugim zaczęli wylatywać z komina różni ludzie. Potem wypadły dwie głowy i dziewięć nóg, ludzie rozstawili je i zaczęli grać w kręgle. Patrząc na nich, chciał chłopiec przyłączyć się do ich gry i spytał?

— Czy nie mógłbym i ja z wami zagrać w kręgle?

— Dobrze, jeżeli tylko masz pieniądze?

— Pieniądzy to mi wystarczy, lecz kule wasze są nie dość okrągłe.

I wziął głowy, położył je na warsztat i obtoczył tak, że stały się okrągłymi.

— Teraz będą się lepiej toczyć, — rzekł.

Pograł z nimi czas jakiś, przegrał trochę pieniędzy, lecz skoro tylko wybiła dwunasta, wszystko znikło. Położył się więc ju-nak przy ogniu i zasnął.

Na drugi dzień rano przychodzi król i pyta:

— Co działo się z tobą tej nocy?

— Grałem w kręgle i przegrałem trochę pieniędzy — odpowiedział.

— No cóż... dowiedziałeś się, nakoniec, co to jest strach?

— Gdzie tam, — odpowiedział — to wszystko było głupstwo, zabawka. Nie mogę jakoś nauczyć się trząść ze strachu.

Na trzecią noc zasiadł znów na swej ławce, powtarzając ze złością:

— Ach, żebym choć teraz mógł się za-trząść ze strachu!

Wkrótce pojawiło się sześciu olbrzymów, którzy przynieśli trumnę zamkniętą.

To napewno jest mój brat cioteczny, który umarł przed kilku dniami — rzekł junak.

Pokiwał na niego palcem i zawołał:

— Chodź do mnie, bracie, chodź!

Olbrzymy postawili trumnę na podłodze; junak podszedł do niej i zdjął wieko. W trumnie leżał trup człowieka. Chłopiec pomacał twarz jego — była zimna jak lód.

— Poczekaj — rzekł — ogrzeję cię trochę.

Podszedł do ognia, ogrzał sobie ręce i przyłożył je do twarzy zmarłego, lecz ten pozostał zimnym. Wtedy wyjął go z trumny, usiadł przy ogniu, położył nieżywe ciało

na kolanach i począł trzeć mu ręce, aby obudzić cyrkulację krwi. Lecz to nie nie pomagało. Przypomniawszy sobie, że najlepiej się ogrzewa, gdy się razem leży w łóżku; przeniósł więc trupa na łóżko, okrył go i położył się z nim razem. W jakiś czas trup się rozgrzał i zaczął się poruszać.

— Widzisz, bracie! — wykrzyknął — jakoś cię ogrzałem.

Lecz trup naraz się podniósł i krzyknął.

— Teraz ja ciebie zaduszę!

— Tak! — zawołał junak — to tak mi się odwdzięczasz? Wracaj znów do trumny!

Podniósł ciało do góry, wrzucił do trumny i nakrył wiekiem. Olbrzymy podeszli i trumnę wynieśli z komnaty.

— Widać ja się już nigdy nie zatrzęsę ze strachu, — rzekł chłopiec — ach, i niczego się nie nauczę.

W tej chwili wszedł do komnaty człowiek, jeszcze większy i straszniejszy napozór od tych, którzy dotychczas byli. Był to starzec z długą, siwą brodą.

— Ach ty, niegodziwcze! — wykrzyknął — teraz ty się prędko nauczysz trząść ze strachu, teraz bowiem musisz umrzeć!

— No, nie tak bardzo prędko — odpowiedział chłopiec.

— Zaraz ja cię uduszę — rzekło straszdyło.

— Ciszej, ciszej! nie krzycz tak głośno. Przecież jam nie słabszy, a może i silniejszy od ciebie.

— To zobaczymy, — rzekł starzec — jeżeliś silniejszy odemnie, to [cię wypuszczę. Chodź, spróbujemy swe siły.

I zaprowadził chłopca ciemnymi korytarzami do podziemi, gdzie mieściła się kuźnia. Tu starzec jednym uderzeniem młota wbił kowadło w ziemię.

— Ja zrobię coś lepszego, — rzekł chłopiec i podszedł do drugiego kowadła. Starzec stał przy nim, żeby lepiej widzieć i siwa broda jego zwieszała się nad kowadłem.

Chłopiec schwycił topór i jednym uderzeniem rozłupał kowadło, wbijając w nie brodę starca.

— No, teraz ty jesteś w moich rękach, — zawołał — teraz na ciebie przyszła kolej umrzeć.

Schwycił żelazny pręt i bił nim starca dotąd, aż ten począł jęczyć i prosić o zmiłowanie, obiecując mu za to niezliczone bogactwa. Wtedy chłopiec wyciągnął topór ze szczeliny i wyswobodził mu brodę. Starzec znów go zaprowadził do zamku i tam, w kryjówce, ukazał trzy skrzynie, napelnione złotem.

— Jedną skrzynię — rzekł — rozdasz biednym, drugą oddasz królowi, trzecią — weźmiesz sobie.

Wybiła północ i duch znikł, chłopiec zaś pozostał sam w ciemności.

— Muszę się stąd jakoś wydobyć — pomyślał, i znalazłszy poomacku drogę, wrócił do swej komnaty; tam się położył i zasnął.

Na drugi dzień przyszedł król i pyta:

— Cóż? Teraz mam nadzieję, żeś nauczył się trząść ze strachu.

— Nie — odpowiedział junak — gdzież znów! Przyszedł tu tylko mój cioteczny brat, który umarł; jakiś człowiek brodaty, który pokazał mi olbrzymie skarby, ale strachu nikt mnie nie nauczył.

— Oswobodziłeś zatem zamek od złych duchów, — rzekł król — i teraz możesz ożenić się z moją córką.

— Wszystko to jest bardzo piękne, lecz bądź co bądź, jam się nie nauczył trząść ze strachu — odpowiedział mu na to chłopiec.

Król kazał wydobyć znalezione złoto z piwnic, wspaniałe weselisko wyprawił, ale młody królewicz, choć kochał bardzo swą żonę, choć był bardzo szczęśliwy, nie przestawał powtarzać:

— Żebym mógł choć raz zatrząść się ze strachu.

Rozgniewało to w końcu młodą króle-

wnę a pokojówka słysząc jej narzekanie, rzekła:

— Ja waszej królewskiej mości pomogę i nauczymy królewicza trząść się ze strachu.

Poszła do strumienia, płynącego koło ogrodu i zaczerpnęła pełne wiadro wody z drobnymi rybkami. Nocą, kiedy królewicz spał, królowna ściągnęła z niego koldrę i wylała na niego całe wiadro zimnej wody z temi rybkami, które poczęły rzucać się po pościeli.

Naraz królewicz zrywa się z łóżka i krzyczy:

— Ach, jak ja się zląkłem, aż trzęsę się ze strachu. No, teraz, kochana żono, dowiedziałem się, co to jest strach.

Sokołowa skała.

(Z Ojcowa).

Między Ojcowskimi skałami znajdują się liczne, dziwnej bardzo postaci, a mianowicie, przypominające sobą różne zwierzęta, potwory, posągi, nagrobki i t. p.

Najdziwniejszą jednak jest jedna, która będąc wązką u dołu, rozszerza się coraz bardziej ku górze, przedstawiając podobiznę do olbrzymiej maczugi. Na skale tej noga ludzka nigdy nie powstała, jedynie ptaki w przelocie siadywały na niej.

Dawnemi laty uwiła sobie na niej gniazdo para wspaniałych sokołów; wychowywały one tam swoje pisklęta, drwiąco patrząc na ludzi, przechodzących мимо.

Starosta tamtejszy, pan srogiego wielce serca, zapragnął mieć jedno pisklę, by odpowiednio je wyuczywszy, mógł używać do łowów.

Obiecał więc sowitą nagrodę temu, kto wdarłszy się na skałę, przyniesie mu jedno pisklę.

Sowita nagroda nie zachęciła jednak nikogo, — śmiałek taki się nie znalazł.

Nareszcie przypomniał sobie starosta pewnego więźnia, który, zamknięty w podziemiach zamku Pieskowej Skały i oskarżony o zbrodnię, ustawicznie jej zaprzeczał, utrzymując, że jest niewinnym.

Kazał więc przyprowadzić go przed siebie i rzekł:

— Słuchaj, utrzymujesz, że jesteś niewinnym, ale nam trzeba dowodu; więc gdy wdrzesz się na tę skałę i przyniesiesz mi jedno pisklę, uznam cię za niewinnego i wypuszczę na wolność.

Zaprowadzili zaraz więźnia pod skałę i tam go pozostawili, ustawiając w przejściach baczne strażę, by nie uciekł.

Spojrzał więzień na skałę i zobaczył niemożność wykonania powyższego rozkazu,

lecz nie tracił nadziei w pomoc Bożą. Ukląkł pod skałą i serdeczną modlitwą prosił Pana Zastępów, by mógł choć tym sposobem okazać swą niewinność.

Pomodliwszy się szczerze, usiadł pod skałą i począł rozmyślać nad sposobem wykonania rozkazu starosty. Rozmyślając tak, nie spostrzegł kiedy sen zmorzył mu powieki.

Gdy usnął, spuściły się cicho ze skały sokoły i podłożywszy skrzydła, poniosły go lekko na skałę. Ocknął się więzień, patrzy wokół i widzi pod sobą dolinę, a obok siebie gniazdo sokole i siedzącą na niem parę sokołów, nic a nic go się nie bojących.

Poznał w tem opiekę Boską nad sobą, padł na kolana i gorącą modlitwą dziękował Stwórcy za pomoc.

Następnie zbliżył się do gniazda, wziął jedno pisklę, i wsunąwszy je w zanadrze, zsunął się po skale na dół podtrzymywany przez sokoły.

Na drugi dzień zrana, starosta, sądząc, że więzień, spadłszy ze skały, już dawno nie żyje, lub gdzie leży z pogruchotanemi kośćmi, z całym orszakem dworzan, udał się ku skale. Lecz któż opisze jego zdumienie, gdy ujrzał go nietylko zdrowym i nieuszkodzonym, ale w dodatku i z sokołątkiem w ręku.

Poznał zło swego czynu starosta i nie tylko że, uznawszy niewinność więźnia, wypuścił go z ciemnicy, sownie wynagrodziwszy, ale zmienił się zupełnie od tego dnia, i stał się tak dobrym dla ludzi, że ci poczęli zwać go swym dobroczyńcą.

Skala zaś owa, na pamiątkę tego cudownego zdarzenia, otrzymała nazwę Sokołowej, a nazwa ta trwa do dziś dnia w ustach ludu.

B a z y l i s z e k.

(Z Warszawy).

Działo się to roku pańskiego 1587. Pewnego letniego wieczoru, straszne zamieszanie zapanowało na rynku stołecznego grodu Warszawy. Gromadkami kupili się mieszczanie i mieszczki, zeicha o czemś gwarzając i trwożnie spoglądając na rumowiska domu spalonego przed 13 laty. Przy nich stała samotna jakaś młoda niewiasta, głośno zawodząc i wzywając pomocy.

— Ratuście, ludzie, kto w Boga wierzy... może one są tam jeszcze żywe, a tylko wyniść nie mogą. Jak dziś rankiem tam weszły, to dotychczas ich nie widać. Pomóżcie mi wejść, a już ja je tam wynajdę. O Jezu, Jezu!

To znów nachylała się nad wązkim otworem piwnicy i wołała:

— Jasiu! Maryś! a ozwijta się, dzieciны moje kochanel

— Nie zawództa tak, kumo! — mówił, podchodząc do niej kum Balcer — opowiedzta mi lepiej, jak się rzecz miała, bo już po całym mieście chodzą gadki, że wasze dzieci zły porwał. Opowiedzta, a może się jako i zaradzi.

— O moiściewy! — zawołała niewiasta, składając błagalnie ręce — dziś rankiem, idąc do jatek, za kupnem mięsa, zostawiłam Jaśka i Marysię pod opieką starego, przy kramie. Zajął się on sprzedażą i nie uważał, że dzieciны poszły się bawić na rumowisko. Gdy powróciła, dawaj je szukać... nigdzie ich nie najduję. Dopiero dzieci sąsiadki powiadają mi, że zaszły aż do lochów. Posłałam więc Magdę, dziewczkę służebną, by je wyszukała i przywiodła. Ale ta, gdy tylko przecisnęła się przez wejście, — wykrzyknęła przeraźliwie! — O Jezu! i spadła w dół, do lochów. Chciałam biedz na pomoc, ale wejście zawązkie. Mój więc pobiegł na ratusz, po marszałka z pacholkami, by złemu zaradzili.

Podumał chwilę kum Balcer, wreszcie odrzekł:

— Oj, kumo, widzi mi się, że nieczyste

jakieś dzieją się tam sprawy, ale, zdaje mi się, że wasze...

— Nie, nie kończcie kumie, — zawołała z rozpaczą niewiasta — czyżby złe mogło dotknąć się takich niewinnych dzieciaków, jak moje?

Tu ruch jakiś wszczął się na rynku i przerwał jej mowę. Mieszczanie rozstępowali się z szacunkiem na obie strony, dając przejście jakiemuś wspaniałemu orszakowi.

Środkiem ulicy, w otoczeniu oddziału węgierskiej piechoty, kroczył mąż wspaniałej postawy, w bogatym stroju, obok niego zaś drugi, w cudzoziemskie szaty przybrany, za nimi zaś szło paru rajców miejskich.

Podeszli do piwnicy, i tam, po krótkiej naradzie, mąż w cudzoziemskie szaty przybrany, a był to architekt grodzki, rozkazał spuścić się któremu z pachółków. Żaden jednak nie chciał posłuchać rozkazu.

— Alboż mi to niewola — mówili — iść na śmierć pewną.

Podumał chwilę architekt, wreszcie rzekł:

— Przynieśta żywo osęków do zdzierania dachów.

Nie upłynęła chwila, a już osęków więcej było, niż potrzeba. Rozkazał architekt spuścić je do lochu i szukać, czy nie natrafią niemi na jakie ciało ludzkie. Niedługo

poszukiwali pacholcy; po chwili jeden z nich zawołał:

— Czuję coś miękkiego, jakby ciało ludzkie, na spodzie.

— Sprobuj zawadzić osękiem o szaty i wyciągnąć na wierzch — rozkazał architekt.

Pomógł mu drugi pacholek i wnet wyciągnęli na wierzch ciało chłopca. Ale nie było w nim już ani iskiereki życia... był on już trupem zimnym i to tak zmienionym, że nawet rodzona matka ze wstrętem odeń się odwróciła. Po chwili jednak miłość macierzyńska przemogła wstręt i z głośnym płaczem rzuciła się na zimne zwłoki dzieciны, okrywając je gorącymi pocałunkami.

Wkrótce też wyciągnięto na wierzch zwłoki dziewczynki i dziewczki służebnej, również okrutnie zmienione.

W milczeniu, zwartem kołem otoczyli mieszczanie te ciała, trwożnie żegnając się, by znakiem krzyża odpędzić złego, być może czyhającego na nich z ukrycia.

Zapanowała grobowa cisza, przerywana tylko jękiem i łkaniem zrozpaczonej matki, tulącej do serca martwe dzieciны i próbującej tchnieniem swem wrócić je do życia. Na próżno jednak.

Wreszcie marszałek grodzki przerwał tę ciszę.

— Co jest przyczyną ich śmierci? — zapytał architekta.

Pomyślał ten chwilę, wreszcie odrzekł:

— W wędrówkach swych po świecie, słyszałem niejednokrotnie opowiadania o strasznym potworze, który samym wzrokiem już zabija. Potwór ten lęgnie się z jaja zniesionego przez koguta, a nazywa się... bazyliszek; zjawia się zaś raz na sto lat.

— Bazyliszek! bazyliszek! — szeptem powtórzyły tłumy i trwożnie odstępowały od otworu, w obawie by tenże nie wyskoczył z ukrycia i jednym spojrzaniem nie uśmiercił ich wszystkich.

Po chwili marszałek zapytał:

— A jaka jest rada, ażeby go się pozbyć?

— Powiadano mi, że jedynym sposobem jest okryć się zwierciadlaną zbroją i tak odzianemu zejść do podziemi, gdzie zazwyczaj ukrywa się bazyliszek, a wtedy on, gdy sam siebie w zwierciadle zobaczy, trupem padnie.

Nie namyślał się już długo marszałek. Skinął na jednego z pisarzy, a gdy ten podszedł, rzekł:

— Rozkaż waćpan ogłosić jutro w całym grodzie, że każdy, kto odważy się, przyodziany w zwierciadlaną zbroję, zejść do lochów i uśmiercić tam bazyliszka, otrzyma 300 dukatów nagrody.

To rzekłszy, ruszył wraz z całym orszakiem ku ratuszowi. Wkrótce też i pacholcy miejscy podjęli zwłoki tak strasznie uśmierconych dzieci, i złożyłwszy je na marach, ponieśli w towarzystwie łkających rodziców, oraz gawiedzi, do domu.

Długo jeszcze stały po ulicach gromadki mieszczan, rozmawiając o zaszłych wypadkach, i o tem, czy znajdzie się śmiałek, któryby odważył się narazić życie dla 300 dukatów.

Powoli noc zapadała nad miastem; gromadki się rozchodziły i wkrótce już tylko stąpania i stuk halabardy nocnych stróżów wskazywały życie, w śnie głębokim pogrążonego grodu.

*

*

*

Na drugi dzień zrana, przy dźwięku trąb, odczytano na wszystkich ulicach zawiadomienie marszałka. Tłumy mieszczan wysłuchały go, lecz nikt jakoś nie kwapił się, ażeby zdobyć nagrodę.

Zbierano się tylko koło rumowiska, naradzano się szeptem, lecz poświęcić się.. żaden z obecnych nie był do tego zdolny

Zafrasowany chodził marszałek po izbie radzieckiej w ratuszu. Coraz, gdy się rozległ jakikolwiek głośniejszy gwar na ryn-

ku, biegł ku oknu i wyglądał, czy nie niosą mu wieści o nowych ofiarach bazyliuszka, lub też, czego wyglądał z upragnieniem, wieści o znalezieniu się śmiałka, gotowego poświęcić życie dla dobra grodu.

Wkrótce jednak odchodził do okna zawiedziony i znów rozpoczynał wędrówkę po sali. Naraz drzwi się otworzyły i wszedł do sali architekt.

Zwrócił się zaraz do niego marszałek i rzekł:

— Oczekuję tu waści z niecierpliwością.

— Czyż nie znalazł się nikt, coby chciał miasto ocalić od potwora?

— Nie, nie znalazł, i sam nie wiem co czynić. Radźcie, bo ja głowę już tracę.

Pomyślał chwilę architekt, wreszcie rzekł:

— Czy niema, panie, w lochach ratuszowych jakich zbrodniarzy, skazanych przez trybunał na śmierć?

— Są dwaj skazani na powieszenie; a co waści na tem zależy?

— Sprobujemy raz jeszcze. Rozkażcie, panie, przywieść ich tu do sali.

Zawezwał marszałek zaraz dowódcę straży miejskiej i dając mu rozkaz, naprędce napisany, polecił przyprowadzić natychmiast zamkniętych w lochach grodzkich, a skazanych na śmierć, zbrodniarzy.

Długa chwila upłynęła, gdy do sali straż wprowadziła obydwóch skazańców zakutyh w kajdany i na skinienie pozostawiła ich samych z marszałkiem i architektem.

Wtajemniczywszy przez ten czas w plan swój marszałka i uzyskawszy zgodę jego, zwrócił się architekt do więźniów i rzekł:

— Trybunał osądził już zbrodnie wasze, i skazał was na karę śmierci. Wiecie już o tem, zarówno jak i o tem, że znikąd łaski spodziewać się nie możecie. Lecz ja wam dam jedną jeszcze drogę, przez którą nietylko że będziecie mogli winy swoje okupić, ale i wolność, a nawet i dobrobyt pewien uzyskać.

Zaiskrzyły się oczy więźniom, nadstawili uszu, by lepiej usłyszeć, co to za droga. Architekt zaś ciągnął dalej:

— Oto w mieście, w lochach spalonego przed laty domu, pojawił się bazyliszek. Należy go zgładzić. W tym celu jeden z was, przyodziany w zwierciadlaną zbroję, musi zejść do lochu, a z pewnością bestja martwą padnie... Wtedy ten odzyska wolność i w dodatku otrzyma 300 dukatów. Namyślcie się nad tą propozycją i rychłą dawajcie mi odpowiedź.

Niedługim był namysł więźniów. Wkrótce jeden z nich odrzekł:

— Nie, panie, wolę już życie postradać na szubienicy, kiedy mi tak sądzono, niż narażać duszę mą na walkę ze złem.

— A ty, Janie Taurer? — zapytał marszałek.

Zapytany Jan Taurer, rodem ze Szlązka, podniósł śmiało głowę, drwiąco spojrzął na towarzysza i odrzekł:

— Zarówno przyjdzie zginąć, czy od szubienicy, czy od bazyliuszka. Tylko że tu można jeszcze się ocalić. Dlatego też, panie, projekt wasz przyjmuję.

Ucieszyli się marszałek z architektem, usłyszawszy to, i wnet przywoławszy strażę, rozkazali pierwszego z więźniów odprowadzić do lochów; Taurera zaś zatrzymali, celem zrobienia nań odpowiedniej szaty.

Sprowadzono z miasta dwunastu krawców, i ci, pod nadzorem architekta, rozpoczęli naszywać obcisłą szatę zwierciadełkami różnej wielkości, umieszczając na piersiach i plecach duże zwierciadła. Podobnie przygotowano mu nakrycie głowy, zasłaniające oczy również zwierciadłami.

Na drugi dzień zrana liczny orszak wyruszył z bram ratuszowych do rumowisk spalonego domu. Wśród licznych pachółków kroczył w błyszczącej zbroi Jan Taurer, a przy nim ksiądz, marszałek i architekt. Na ulicach i rynku zebrały się tłumy mieszczan, zdala się jednak trzymały od rumowiska.

Gdy orszak cały zbliżył się do wejścia do lochów, wystąpiło z niego dwóch pacholków z oskardami i silnemi uderzeniami rozszerzyli otwór, poczem, rzuciwszy oskardy na ziemię, czemprędzej pobiegli ukryć się w tłumie, by ujść zabójczego spojrzenia bazyliuszka.

Przeżegnał raz jeszcze kapłan odważnego Szlązaka, i ten, błyszcząc w słońcu w swej zbroi i trzymając w ręku świecę płonąca, śmiało zeszedł w głąb podziemi.

Trwożnie nasłuchiwali mieszczanie, czy nie ozwie się w głębi krzyk rozpaczny o pomoc; cisza zapanowała taka, że można było słyszeć bicie serc.

Uplłynął tak długi kęs czasu i już wszyscy wątpić poczęli w powrót Taurera, gdy naraz w głębi lochów rozległ się krzyk, krzyk straszny, przejmujący aż do głębi.

Zakołysał się tłum i pędem począł uciekać, kryjąc się po bramach i mieszkaniach. Na placu pozostał tylko marszałek, kapłan i architekt.

Przeżegnali się oni pobożnie, marszałek i architekt ujeli za miecze, kapłan zaś począł odmawiać modlitwy za konających.

Zaczęło się znów oczekiwanie, męczące, niepewne; chwile zdawały się godzinami, godziny — wiekami.

Naraz, po paru godzinach takiego oczekiwania, u wejścia do lochów wszczął się ruch jakiś. Z obawą spojrzeli tam marszałek z architektem, gdy u wejścia stanął... Jan Taurer, z podniesioną przyłbicą, uśmiechnięty radośnie, trzymający w ręku jakieś zwierzątko.

Rzucili się wszyscy ku niemu, a on podał architektowi owo zwierzątko, wielkości kury, z szyją i łbem indyjskim a oczami żaby.

— To bazyliszek! — wykrzyknął architekt — jakieś go nadybał? — odpowiadaj!

— Ano — zaczął opowiadanie Jan Taurer — gdym zeszedł do lochów, rozpocząłem błądzić po różnych skrytkach i zakamarkach, byle to dziwo znaleźć. Łaziłem długo, spaliła mi się jedna świeca, zapaliłem drugą, gdy i ta spłonęła, — trzecią, aż wreszcie, gdym już miał zamiar wyjść na wierzch, usłyszałem krzyk jakiś straszny, coś się na mnie rzuciło, i uderzywszy skrzydłami, zgasiło świecę, a potem upadło mi u nóg. Zląkłem się bardzo i bałem się zrazu poruszyć, aż wreszcie, po jakimś czasie, zapaliłem znów świecę. Patrząc, a tu u nóg leży ta oto bestja, nieżywa. Ucieszyłem się wielce, gdyż odrazu domyśliłem się, że to jest bazyliszek. Wziąłem go pod pachę i idę ku wyjściu, gdy naraz świeca mi się wypaliła iostałem

w ciemności. Długom błądził po lochach, aż wreszcie błysnęło mi światelko i oto wyszedłem na wierzch.

Tymczasem mieszczanie, uspokojeni ciszą panującą na placu, powoli zaczęli wyglądać z kryjówek; zobaczywszy zaś stojącego na placu, przy marszałku, księdzu i architekcie Taurera, otoczyli ich kołem, wznosząc gromkie okrzyki na cześć dzielnego Szlązaka.

Olbrzymi orszak ruszył z rynku ku ratuszowi, odprowadzając tam zwycięzcę po przyobiecanej nagrodę.

Na drugi dzień zrana, na stosie, wystawionym na środku rynku, spalono uroczyście, wobec licznych tłumów, z rozkazu marszałka i trybunału, — bazyliuszka.

Od tego czasu nie pojawił się on już nigdy w Warszawie.

R o z m a r y n.

(Włoskie).

Nie było chyba napozór szczęśliwszej istoty nad królowę Marję. Bo była i piękna, i bogata, i dobra, tak że jej tylko ptasiego mleka lub gwiazdki z nieba brakowało. Mimo to jednak nie czuła się szczęśliwą. Płakiwała często w ukryciu przed mężem, i czuła brak czegoś, co mogłoby stanowić

całą treść jej żywota. Wszystkoby chętnie oddała, i bogactwa swoje, i urodę, i królestwo, byleby tylko mieć dzieciątko, któreby życiem swoim wypełnić mogło otaczającą ją pustkę.

Próżnemi jednak były jej westchnienia i tęsknota, — Bóg jakoś nie zsyłał tak gorąco upragnionego dziecięcia.

Razu pewnego chodziła z orszakiem swych dam po ogrodzie. Naraz zobaczyła wspaniały krzak rozmarynu, licznemi okryty pąkami. Żal ścisnął jej serce i rzekła:

— Ach, jakież ten krzak szczęśliwy. I on nawet cieszyć się może licznem potomstwem, i on ma nawet dbać o coś i pielęgnować. Jakżeż mu zazdrosczę tego szczęścia i jakbym chciała być w jego miejscach!

I ze łzami w oczach wróciła do pałacu.

Po upływie pewnego czasu stała się rzecz niesłychana. Królowej urodziło się nie dzieciątko, lecz... krzak rozmarynowy. Biedaczka jeszcze bardziej się tem zmartwiła. Tak pragnęła mieć żywą dziecinę, którą mogłaby się zająć, której serce i umysł sama mogłaby kształcić, a tymczasem... ma krzew bezduszny, do którego ani przemówić, ani pobawić się z nim nie można.

Ale trudna rada. Z poddaniem przyjęła to, co Bóg jej zesłał, poleciła krzak posadzić w doniczce wspaniałej, postawiła go

w swojej komnacie na oknie i cztery razy na dzień podlewała łzami rzewnemi.

Minęło tak lat kilkanaście. Kwiat rozmarynowy rozrósł się wspaniale i stał się tak pięknym, że wszyscy nim się zachwycali.

Pewnego razu przyjechał do króla w odwiedziny siostrzeniec jego, król hiszpański... Oprowadzał go król po komnatach pałacowych, pokazując zawarte w nich bogactwa, aż wreszcie zaszli do komnaty królowej, gdzie stał krzew rozmarynowy. Zachwycił się pięknością jego król i w duszy jego zbudziła się chęć posiadania go.

Tymczasem rozpoczął się na dworze królewskim szereg uroczystości na cześć gościa, lecz ten przez cały czas był jakiś chmurny: przemyślał ciągle nad sposobem zdobycia owego krzewu.

Aż pewnego wieczoru, przed samym odjazdem, w czasie wspaniałego balu dworskiego, polecił dworzanom swoim unieść ukradkiem krzew rozmarynowy i zanieść go na okręt, sam zaś wnet pożegnał się z królewską parą i śpiesznie podążył na statek.

Udał się plan jego, i krzew, starannie strzeżony, umieszczony został w najpiękniejszej kajucie statku. Podniesiono wnet kotwicę, rozwinięto wszystkie żagle i okręt, pchany całą siłą wiatru, śpiesznie wypłynął na pełne morze.

Wkrótce przybyli do stolicy. Król rozkazał zaraz przygotować piękną komnatę, przybrać ją wspaniale i tam umieścić krzew skradziony.

Całemi godzinami zamykał się w tej komnacie, rozmyślając o różnych rzeczach. Wreszcie pewnego razu wziął z sobą flet i począł z niego dobywać rzewne, pełne niewysłowionego żalu melodje.

Naraz... krzew rozmarynowy rozchylił swe gałęzie i wyszła z niego przecudnej urody dziewczica.

Oczarowany stał król przed nią, nie mogąc wymówić ani słowa. Wreszcie, gdy odzyskał przytomność i chciał do niej przemówić, dziewczica z oczu mu zniknęła.

Od tego czasu coraz częściej i dłużej przesiadywał w ustronnej komnacie, grą na flecie wywołując przecudne zjawisko. Miłość jego ku dziewczicy z każdym dniem wzrastała, tak że wszystko gotów był uczynić na jej skinienie, zwłaszcza że i ona wkrótce odpłacać mu zaczęła wzajemnością.

Niedługiem jednak było ich szczęście. W granice państwa wkroczył wróg okrutny, pragnąc w posiadanie swe zagarnąć państwo młodego króla. Powinność bronienia życia i mienia poddanych powołała go na granice kraju.

Rozdzierającym serce było pożegnanie jego z ukochaną dziewicą. Długi czas trwali w uścisku, jakby już nigdy zobaczyć się nie mieli, wreszcie surmy bojowe odgłosem swym oderwały króla od serca najdroższej istoty.

Skryła się ona w krzewie rozmarynu, on zaś, przed wyruszeniem na boje, przywołał do siebie starszego ogrodnika i surowo mu nakazał strzedz jak oka w głowie, krzewu, stojącego w odosobnionej komnacie, grożąc w przeciwnym razie karą śmierci.

Upłynęło od tego czasu parę tygodni.

Siostry królewskie już dawno były zaciekawione tem, co brat ich robi tak często w ustronnej komnacie. Kilka razy próbowały się tam dostać, lecz napróżno, aż wreszcie, gdy wyjechał, zakradły się do komnaty pocichu. Ze zdumieniem oglądały wspaniałe urządzenie i precudny krzew rozmarynowy. Wreszcie jedna z nich spostrzegła leżący na stole flet, pochwyciła go i poczęła z figłów grać na nim.

Zaledwie wydobyła pierwsze tony, gałęzie krzewu rozchyliły się i wyszła z nich owa precudnej piękności dziewica.

Zdumione stały siostry królewskie, gdy dziewica wśród nich stanęła. Lecz gdy spostrzegły, że jest stokroć od nich piękniejszą, uniosły się srogim gniewem i zazdro-

ścią. Nie namyślając się długo, rzuciły się na biedne dziewczę i poczęły je bić. W jednej chwili dziewczę skryło się w krzewie, zaś siostry królewskie wybiegły z komnaty.

Lecz od tej pory krzew począł tracić całą swą piękność, świeżość, marniał i schnął coraz więcej.

Przerażony tem ogrodnik, w obawie królewskiego gniewu i kary, czynił co mógł by złe naprawić, lecz gdy spostrzegł, że cała jego znajomość sztuki nie pomaga i krzew marnieje coraz bardziej, potajemnie spakował swe manatki i wprzeddzień powrotu króla uciekł do boru.

Głęboko zaszedł w dal lasu i tam ukrył się w gęstwinie, postanawiając przenocować, za dnia zaś podążyć dalej.

O północy rozbudził go głośny szum. Podniósł głowę, patrzy, a tu na polance spotkał się straszny smok z olbrzymią jaszczurką i rozmawiają z sobą.

Nadstawił ogrodnik uszu, by posłyszeć, o czem one rozmawiać mogą, aż zrozumiał, że mówią o krzewie rozmarynowym.

— Tak, — mówił smok — niema dla królewny ratunku; musi siedzieć uwięziona w krzewie.

— Więc stanowczo niema dla niej pomocy? — pytała jaszczurka.

— Jest jeden sposób, żeby ją ocalić, ale o nim nikt nie wie; no, i nikt nie odważyłby się go wykonać.

— Jakiż to sposób?..

— „Podlać krzew krwią smoczą i jaszczurką, to jest moją i twoją.

Zaledwie ogrodnik to posłyszał, wy dobył pochwy miecz z pochwy i wyskoczywszy z ukrycia, jednym cięciem zarąbał smoka, przebijając jednocześnie jaszczurkę.

Nabrał potem w czapkę posoki smoczej i uradowany, przedzierając się przez zarośla, pędem pobiegł do pałacu królewskiego.

A zdążył w sam czas, gdyż na zakręcie drogi ukazał się już królewicz, powracający na czele zwyciężkich wojsk z wyprawy.

Roztrącając zebranych tłumnie na powitanie króla dworzan, wpadł ogrodnik do komnaty i podlał krzew krwią smoczą. W jednej chwili liście jego nabrały świetnej barwy, pochylone gałęzie wyprostowały się, rozchyliły się i wyszła z nich precudna dziewczica — królowna.

Jednocześnie wbiegł do komnaty stęskniony królewicz. Padli sobie kochankowie w objęciu, długim a serdecznym uściskiem wynagradzając wzajemnie tak długie rozstanie. Że zaś po podlaniu krwią smoczą, czar więzący królownę w krzewie rozmarynowym został zdjęty, zawiódł więc królewicz królew-

nę Rożę Marinę do sali tronowej, przedstawił ją tam matce i zebranym dworzanom i ludowi, jako swoją narzeczoną, a w przyszłości żonę.

Zabrzmiały radosne okrzyki zebranego ludu na cześć młodej a tak cudnie pięknej pani.

Chojnie wynagrodziwszy ogrodnika, posłał wnet król gońca do rodziców królowny z radosną wieścią o ich nieznannej im córce i wnet po ich przybyciu wyprawił wspaniałe gody weselne.

I żyli królewiczostwo z sobą długie lata, w szczęściu i radości, błogosławieni przez wszystkich poddanych.

Św. Jerzy i smok.

(Angielskie).

Tłumy ludu otoczyły bramy zamkowe, błagając strażę, by im pozwoliły stanąć przed obliczem królewskim. Opierały się strażę ich żądaniom, lecz król, spostrzegłszy lud swój, rozkazał otworzyć bramy i dopuścić wszystkich przed oblicze swoje.

Z płaczem i lamentem wpadł tłum do sali i rzuciwszy się na kolana przed królem, mówić począł:

— Ratusz nas, królu i ojciec nasz! Straszna klęska nas dotknęła... grozi nam zagładą, nam i dzieciom naszym. W pobliżkim boru osiadł smok olbrzymi i stamtąd wypada na pola nasze, porywając trzodę i dobytek nasz. Porwał już wszystkie nasze stworzenia, teraz i nas chce wyniszczyć. Ratusz nas, inaczej wszyscy wyginie!

Zadumany słuchał król skargi ludu swego, a gdy skończyli, wstał z tronu i rzekł:

— Idźcie w spokoju. Obmyślę z panami radą, co uczynić, by was od klęski ochronić. Uczynię zaś wszystko, co w mej mocy będzie, byle was od złej bestji ocalić.

Pełen otuchy, wznosząc radosne na cześć króla okrzyki, rozszedł się lud do chat swoich.

Tymczasem król zwołał radców i przełożywszy im skargę ludu, żądał rady i pomocy, co czynić.

Radzili długo, aż wreszcie najstarszy z mężów odezwał się:

— Zaradzić może jedno. Jakiem słyszał od starych ludzi, pomódz tu tylko może ofiara... ofiara z dziewicy.

Zapanowała cisza. Wreszcie król rzekł:

— A więc złożmy ofiarę, byle tylko lud ocalić.

— Lecz gdzie znaleźć dziewicę, któraby dobrowolnie zgodziła się złożyć życie w ofierze za lud?... — zapytywali radcy.

— Niech się zbiorą wszystkie dziewice z całego państwa, nie wyłączając i córy mej — wyrzekł król — i niech ciągną losy. Na którą los padnie, ta będzie ofiarą.

W milczeniu rozeszła się rada, myśląc o rozkazie królewskim.

Na trzeci dzień zrana zebrał się tłum dziewic, w białe przyodzianych szaty, z białymi liljami w rękach. Towarzyszył im tłum rodziców i krewnych z głośnym płaczem i lamentem. One zaś kroczyły śmiało, z dumnie wzniesioną głową, w duchu jednak czuły obawę przed straszną ofiarą.

Zebrały się wszystkie w sali zamkowej i po krótkiej modlitwie kapłana przystąpiły do urny, by ciągnąć z niej złowieszcze losy.

Pierwsza podeszła córka królewska i gdy rozwinęła wyciągnięty zwitek papieru, ukazał się kolor czarny — zwiastun śmierci. Ona to miała być ofiarą, złożoną smokowi.

Radośnie odetchnęły dziewice i ich rodziny, lecz i smutek ich przejął głęboki, gdyż królowna była ogólnie kochaną.

Ona jednak ze spokojem przyjęła swój los i pobłogosławiona przez kapłana, otoczona orszakami dziewic i rycerzy, ruszyła na błonia, gdzie miała zostać spełniona ofiara.

Król, zobaczywszy, że ofiarą ma paść jedyna córka jego, zmartwił się tem wielce;

serce rwało mu się z bólu, lecz nie okazał tego po sobie. Przeciwnie, pożegnawszy ją czule, wydał rozkaz do pochodu, sam zaś, zamknąwszy się w swoich komnatach, puścił wodze boleści.

Przywiązano królownę do drzewa, stojącego pośród łąki, poczem cały orszak powrócił do miasta, z płaczem i żałobnymi pieśniami, pozostawiając ją samą.

Królowna była spokojną. Poblądłe oblicze wzniosła ku niebu, w gorącej modlitwie polecając się opiece Pana nad Pany.

Gdy tak stała, oczekując śmierci, od strony lasu rozległ się szum straszny i wypełził olbrzymi smok, kłapiąc potworną paszczą, uzbrojoną dwoma rzędami wielkich zębów. Zobaczył przywiązaną królownę i począł się zbliżać. Niewielka już przestrzeń oddzielała potworę od królowny; już ta, wzniosłszy błagalnie oczy ku niebu, żarliwie się modliła, gdy naraz...

Na drodze ukazał się tuman kurzu i wkrótce wyłonił się z niego precudny rycerz, na mleczno-białym siedzący rumaku, w srebrzystą zakowany zbroję.

Ujrzał stojącą na łące królownę i zbliżającego się ku niej smoka i pędem skierował rumaka ku niemu.

Śmiało natarł ów rycerz, a miał to być św. Jerzy, na smoka. Krótką była ich wal-

ka, i smok, rażony dzielnem cięciem miecza, legł martwy u stóp rycerza, wylewając z siebie strumienie posoki.

Ukończywszy walkę, podbiegł rycerz do omdlałej królowny i czulemi począł ją cucić słowy. Wkrótce odzyskała przytomność i rycerz, usadziwszy ją na siodle, ujął konia za cugle i tak wiódł do miasta.

Zobaczyli tę walkę mieszkańcy, wylegli za mury i z radosnemi okrzykami, rzucając im wonne kwiecie pod stopy, w wspaniałym orszaku, powiedli na zamek.

Usłyszał radosne okrzyki ludu zrozpaczony król. Zadziwiły go one, więc wyjrzał przez okno.

Patrzy, a tu na białym jak śnieg rumaku siedzi córka jego, a rumaka wiedzie za cugle rycerz w srebrzystej zbroi, cały krwią zbryzgany; otacza ich tłum rozradowanego ludu.

Wybiegł król z komnaty i czule witać począł cudownie ocaloną córę.

Wspaniałe potem odbyły się na zamku królewskim turnieje, lecz jeszcze wspanialszemi były gody weselne królowny z jej zbawcą.



KONIEC CZĘŚCI I-ej.

80080/1

TREŚĆ.

	<i>Str.</i>
Dola. (Litewsko-rusińskie).	5
Dzwon (Chińskie).	12
Ofiara Nilu. (Arabskie)	20
Golankówna (Polskie)	26
Syrena (Skandynawskie)	34
Królowa Bałtyku (Litewskie)	47
Paweł i Piotr (Szląskie).	54
Pasterz i zaklęta dziewczica (Kaszubskie).	58
Uburtis i djabeł (Litewskie)	63
Junak bez bojaźni (Niemieckie) ,	67
Sokołowa skała (Z Ojcowa)	85
Bazyliszek (Z Warszawy).	88
Rozmaryn (Włoskie)	99
Św. Jerzy i smok (Angielskie)	106
